

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JANUSZ GŁOWACKI

**WIRÓWKA
NONSENSU**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WIZYTA

Koło siódmej wieczorem ciężkie kroki i kołatanie. Teresa jest już przy drzwiach, myśląc, że przyjechali wcześniej, że Andrzej z Bodziem będą dopiero za godzinę, że będzie musiała sama ich przyjmować. Zdenerwowana, nienawidząc Andrzeja za to niepotrzebne wyjście i jednocześnie czując jednak ulgę, że już są, otwiera drzwi rozjaśniając się w uśmiechu. A oni już tam stoją, oboje zakutani w kurty, grube chusty, zawsze wyglądające brudno – on w kaloszach, ona w trzewikach wysokich, przydeptanych, mali oboje i bardzo starzy. Więc Teresa, uśmiechając się w tym następnym momencie już łatwiej, zaprasza do środka i wypełniając lęk przed ciszą za głośno i za szybko pyta o podróż, tłok, mówi, że Andrzej z synkiem będą za chwilę. A oni, nieufni, czujni, ostrożnie wchodzą na lśniąca posadzkę, która od razu im się nie podoba, bo jest obca, inna i niepotrzebna. Ciągłe niewiele mówiąc wyłaniają się z tych kurt i chust, robią się jeszcze mniejsi i jeszcze starsi. Potem, uroczyście prowadzeni, wchodzą do stołowego, gdzie kwiaty zdobyte z trudem w zimie, Matka Boska i ślubna fotografia na ich cześć zawieszono nad niskim, modnym tapczanem, radio solidne, szerokie, lśniąca politurą i bogato obite krzesła.

Siadają na tych krzesłach przy stole nakrytym białą i teraz zaczynają się dla Teresy najtrudniejsze momenty. Bo oni o nic nie pytają, nie patrzą na pokój, tylko na nią – bardzo spokojnie, jakby jej nigdy przedtem nie widzieli. Opowiadając, jak to mieszkanie w nowych blokach zdobyli, Teresa wie, że nie słuchają, że jej nie lubią za to, że jest z miasta, że maże to przez nią Andrzej ze wsi uciekł, odszedł od nich i od ziemi obojętnie, bez żalu, czego nigdy nie przebaczą, bo nie mogą zrozumieć. Patrzą na nią, trzydziestoletnią, zgrabną, ale już trochę tyjącą, z włosami jasnymi, ostrzyżonymi za krótko, w spódnicy też chyba za krótkiej i w sweterku czarnym za obcisłym. Niechęć się w ich oczach gromadzi coraz więcej. Więc Teresa urywa. Wybiega do kuchni, ale zaraz wraca, proponuje herbatę, bo chociaż kaloryfery dobrze grzeją, oni przemarzli i raz po raz pocierają spierzchnięte, czerwone dłonie z brudnymi paznokciami. Potem, żeby ciągle coś robić, szynkę i chleb cienko pokrojone stawia na stole. I jeszcze jedną i drugą karafkę z przygotowaną przez Andrzeja nalewką. Potem znów mówi tylko ona. Ale jest już lepiej, bo za piętnaście minut wraca Andrzej, więc swobodniej opowiada o pracy Andrzeja w Prezydium Powiatowej Rady, o swojej w szkole, o synku Bodziu, do ojca podobnym i dziadka.

Stary mówi oszczędnie, starczym, skrzekliwym głosem, bo chociaż sam trzyma się jeszcze prosto, głos ma już umarły. Tylko ona, bez wieku, pocięta zmarszczkami, ciągle zimna, patrzy ostro i nie może zrozumieć, co się podobało w tej jazgotce jej synowi. Głosu nie zdiera, tylko czeka, bo przyjechali z interesem poważnym, robić zgodę, a czas rozmowy jeszcze nie nadszedł.

Teresa nalewa do kieliszków, ale oni dziękują, czekają na syna, i znów się robi gorzej. Ale teraz już zgrzyta klucz w drzwiach i wchodzi Andrzej, palto lodenowe i kapelusz rzucając na wieszak i zrywając futerko z Bodzia. Teresa oddycha z ulgą, kiedy Andrzej spiesząc się matkę i ojca w rękę całuje, a Bodzio tym wyćwiczoną „dziadku, babciu” wyłom w chłodzie robi. Potem siedzą przy stole, a Bodzio przegląda zdjęcia na tapczanie i wszystko jest, jak zaplanowali, więc można już chwilę odsapnąć przed tą zasadniczą rozmową, która już teraz odbędzie się na pewno, a o której możliwych wspaniałych następstwach aż strach pomyśleć.

Na razie Andrzej, wysoki, w czarnym wyprasowanym garniturze, srebrzystym krawacie przy białej koszuli, w stroju, w którym starzy niechętnie syna nie kochanego poznają, zaprasza do picia. Podnosi kieliszek myśląc, że oni zupełnie się nie zmienili, a przed oczami stają mu wspomnienia ze

wsi, z ich domu – ani wzruszające, ani wesołe. Ale wznosząc ten kieliszek uśmiecha się serdecznie, ciepło, chociaż z napięciem dla Teresy bardzo widocznym właśnie dlatego, że ona teraz prawie tak samo jak on czuje i myśli.

– Więc zdrowie rodziców kochanych za to, że odwiedzili, i w ogóle!

Wypili. Matka szybko, obojętnie, stary zakaszła się, poczerwieniał od razu. Zagryźli szynką, chlebem. Po chwili Andrzej znów nalał – wypili.

– Więc oto, synu, jesteśmy – zachrypiał stary. – Oto jesteśmy.

Wypili. Teraz zakrztusiła się Teresa, uśmiechnęła przepraszająco. Dla niej picie już się skończyło.

– A Bodzio grzeczny chłopak, zdrowy – pochwalił znów stary.

I tak idzie ta rozmowa, kluczająca, ostrożna, powykręcana, dotykająca tylko i uciekająca od tej sprawy jedynej i najważniejszej. Więc teraz Andrzej o brata Macieja pyta, potem o pogrzeb drugiego, Ignaca, na którym nie był, bo właśnie odbywał wojsko. Potem lekko o konie, bydło i, już blisko tej sprawy, znów odskakuje. Głównie Andrzej pyta, stary odpowiada. Teresa raz i drugi spróbowała się wtrącić, potem na tapczanie przy Bodziu pozornie obojętna uważnie słucha. Stara też już nie pije, przechyliła głowę na bok, patrzy czujnie wyblakłymi oczami I ta rozmowa kołuje dalej, a Andrzej wiejskie wspomnienia, wtedy jątrzące niesprawiedliwością, teraz odległe już i ostygłe, odnajduje w sobie. Obraz wsi mocno przyćmiony powraca w skrzeku starego, nie tyle w znaczeniu słów, ile w dźwięku i tonacji.

A stary rzecz też snuje delikatnie, statecznie szukając wspomnień zbliżających, nie dzielących.

I tak kołują, raz po raz zderzając się kieliszkami, aż stary po przerwie dłuższej odchrząknął, poprawił się w krzesło, spojrzał na starą.

– Wiadomym ci jest, Andrzej, cel naszego przyjazdu. Jako rodzonemu synowi należę ci się po nas miała po równi z bratem twoim Maciejem gospodarka. Teraz, jako żeś od nas z ziemi odszedł, podług ustawy ostatniej prawo swoje potraciłeś. Jednakże, jako że i ustawy na nowe się zmieniają, i my po polsku i chrześcijańsku obowiązek swój rodzicielski znamy, uzgodniliśmy z Maciejem spłacić należną ci po śmierci naszej twoją część zaraz, z pożytkiem dla stron obu. Maciejowi ziemi jest teraz potrzeba, jako że żenić się zamierza, a przed ślubem wykazać musi. Na to zgodę listami wyraziłeś i przez co właśnie zgodnie z zapowiedzią jesteśmy, pokazując, że żalu nie mamy i zgody chcemy.

Spojrzał na matkę, szybko wychylił kieliszek, zagryźł, zakrztusił się i chrypiał dalej:

– Tak więc przybywamy do was uzgodnić sprawę, co my chcemy, co wy. Niech każdy powie, co ma na myśli i sercu, a zgodę zrobimy.

Wtedy Andrzej grzecznie, układnie ucieszył się słowami ojca. Do zgody on jest pierwszy. Nie przez niekochanie ziemi i rodziny odszedł, tylko pędzony ciekawością do świata.

Ojciec kiwnął głową i szybko podniósł kieliszek:

– Dosyć już. – Stara ostro odsunęła butelkę. – Zostaw, mówię.

Andrzej roześmiał się na te nic nie zmienione od tamtych czasów rządy matki i kieliszki znowu napełnił. Stara rzuciła tylko ramionami i swój odsunęła.

Tymczasem stary, raz sprawę rozpocząwszy, nie kołując wyklada.

Teresa, jak to zresztą było zaplanowane, wzięła śpiącego Bodzia na ręce, zaniósła do łóżeczka przygotowanego w kuchni. Wracając usłyszała właśnie, jak Andrzej przeciw wymienionej długiej, opatrzonej wieloma zerami liczbie ostro protestuje. Zatrzymała się dłużej w drzwiach, bo ta liczba, chociaż przecież spodziewali się czegoś takiego, uderzyła ją jednak, oszołomiła konkretnością. Wypowiedziana, przetworzyła się w jej myślach w większe mieszkanie w wielkim mieście, koniec nie lubianej pracy, urzędniczej pensji – futra, teatry. Potem usłyszała, że Andrzej właśnie ze względu na nią i syna, powołując się na ich wspólne szczęście, sumy tej nie przyjmuje jako za małej. I chce jej się krzyczyć, ale wie, że Andrzejowi można ufać, bo jest sprytny i po chłopsku, i po miejsku, i widzi w nim tylko lekko przyćmione wódką skupienie. Słyszycy dalej, jak stary namawia, spo-

cony, coraz bardziej czerwony na gębie, i jak Andrzej, rozchełstany, upiera się, że należy mu się więcej, że ma prawo.

Aż łeb starego jest coraz bliżej obrusa i on sam, po pijacku, serdecznie zgodliwy, przytakiwać zaczyna, zgadza się: – Słusznie, synu, słusznie.

– Cicho, ty! – syknęła stara. I sama już, napięta, sprężona, jakby jeszcze zmaląła, zupełnie nie pijana, mając z góry nad Andrzejem dawną przewagę szacunku, który w nim teraz powraca, i właśnie trzeźwości - przejmując sprawę.

– A ty, Andrzej, wiesz, że dopiero po naszej śmierci mógłbyś próbować swego dochodzić. A my z ojcem pożyjemy.

– Czego wam z całego serca życzę! – Andrzej, spocony, zmierzwiony, przechylił się do przodu. Ale na krzywdę się zgodzić nie mogą. I tak, kochani, dodacie dwadzieścia tysięcy.

– Słusznie, synu. – Stary rozlewając nalewkę trzęsącą się ręką podnosi kieliszek. – Słusznie. Stara nie zwraca już na niego uwagi. – Nie postąpimy.

Do niej należy decyzja i tylko już w jej stronę Andrzej, trochę bełkotliwie: – Sumienia nie macie. Bez sumienia ludzie.

– A ty co? Jak na ziemi żyłeś, nie do roboty ci było. Co innego miałeś w głowie.

Oczy jej nieprzyjaźnią jeszcze bardziej i u Andrzeja znów powracają te dawne obrazy, rozkorysane wódką i roztkliwieniem nad sobą.

– A co? Oczkiem w głowie wam nie byłem. Trzech nas było. Oni u was we wszystkim pierwsi przede mną. – Machnął ręką. Kieliszek rozprysnął się na podłodze. – Uczyc się chciałem. Postąpicie dwadzieścia?

Stara roześmiała się niespodziewanie, ostro, skrzekliwie.

– I nauczyłeś się. Z komunistami robić porządki. Że też ta Matka Boska ze ściany chce na ciebie patrzeć. Za mało cię stary bił, przez to teraz takie czasy, tacy jak ty rządzą. Pięć dołożę.

- Dwadzieścia. - Pięć.

Teresa chciała mu, bełkocącemu, przerwać, sprawę zakończyć, dla niej już wygraną. Bała się teraz jego uporu pijackiego, już bez sprytu. Bała się, żeby się te pieniądze z powrotem w nieokreślone nie zamieniły. Ale on nie zważał na jej machania, a wtrącić się wprost – nie miała odwagi. Tam wciąż te dwie liczby padały, Andrzej ze łzami już swoją wymawiał, a matka dalej spokojnie swoją.

– Gówniarzu, skurwysynu, za mało cię waliłem – zerwał się jeszcze stary, podrzucił łeb i znowu się zwałił na krzesło.

- Pięć.

I Andrzej wreszcie, zupełnie już pokonany jej opanowaniem, wódką roztkliwiony: – Zgadzam się, chłopcy ciemni – zapłakał. – Zgadzam się jako lepszy i mądrzejszy. Na wasze nieszczęście się zgadzam. – I utwierdzając się w tym roztkliwieniu, łyzy brudną ręką rozmazując: – Niech się Maciej, mój brat, zadławi tą ziemią moją ukochaną, której widzieć nie chcę.

Teraz stara, ciągle ostra, wszystko wiedząca, wyciągnęła papiery przedtem schowane pod krzesłem i na oczach rozluźnionej Teresy, która teraz mogła już podejść, Andrzej, zaśliniony, przekrwiony, odpychając starego, co głośno chrapiąc na niego napierał, nabazgrał swoje nazwisko pod liczbą przygotowaną, którą stara przewidziała z góry i na swoim postawiła. Po czym papier schowała uważnie i wtedy dopiero razem z Teresą – ani wroga, ani zadowolona – przeciągnęła kolejno kościstymi silnymi rękami chrapiącego starego, potem Andrzeja, poplamionych, lepkich, i kładły ich w ubraniach w czystą pościel, przygotowaną specjalnie na ten przyjazd. Wreszcie sama skuliła się obok, zwinęła przy nich, znów bardzo mała i bardzo stara – zasnęła spokojnie od razu.

Dopiero wtedy, słysząc chrapanie tych trojga, sprawdzwszy przedtem, jak mały śpi, gasząc światło, wymęczona nieludzko i odprężona Teresa zaczęła liczyć.

KONGO NA KUBUSIA PUCHATKA

Dwadzieścia po ósmej. Poprawiłem się w fotelu i uśmiechnąłem do przechodzącej z nowymi taśmami ciotki, starając się, aby w uśmiechu tym było możliwie dużo podziwu i sympatii. Ciotka przeszła obojętnie, podnosząc spojrzeniem siedzącego w głębi, obok wysuszonej, długiej angielskiej dziennikarki, wuja Leona, który zaraz wstał i zaczął przesuwać coś w projektorze. Uważnie zakładał taśmę. Słabe światło małej ściennej lampy podkreślało chudość jego twarzy.

– Co z Agą? – skreślił się ciężko w moją stronę dyrektor, ojciec Agi, mój teść. – Przecież umówiliście się tutaj? O siódmej – spojrzał karcąco. – To bardzo nieprzyjemne wobec Blanki i Leona. Zależało im na Adze dzisiaj. Będą dotknięci.

– Postanowiłam nie zapalać dużego światła ciotka zatrzymała się przy fotelu dyrektora bo chociaż szybciej poszłoby przygotowanie projektora i nowych taśm, rozbiłoby to absolutnie nastroj. Leonie, przetłumacz! – Uśmiechnęła się serdecznie do Angielki, poznanej parę dni temu korespondentki liberalnego tygodnika, którą wprowadzała właśnie w życie typowo polskiej rodziny. – Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy ktoś czasem nie dzwoni.

– Już sprawdzam, mam. – Dziesięcioletni, drobny, ze starannie wypracowanym przedziałkiem, podniósł się szybko z puszystego dywanu, gdzie został uprzednio zakomponowany, wygładził garniturek w modną kratę i uśmiechając się sympatycznie, zniknął w hollu.

Ta pokazówka była właściwie zupełnie niepotrzebna, bo dla nas nienaganne maniery Eryka i wymyślna uprzejmość ciotki nie były zaskoczeniem, Angielka zaś nie mogła ich w pełni docenić. Ale ciotka nie umiała sobie odmówić zaprezentowania swojej szkoły, poza tym świetny pretekst dawało spóźnienie Agi. Wygrywała więc trzy rzeczy: Eryk, oczekiwanie na Agę, niechęć do mnie – nie byłem w stanie przyprowadzić punktualnie Agi.

– Nie, mam, obawiam się, że się omyliłaś... – Znow uśmiechnięta sympatycznie twarz Eryka.

– Dziękuję ci, może usiądziesz. Chyba rozpoczniemy. Ciąg dalszy: nasz powtórny przyjazd do Konga. Kasuję światło. Leonie, proszę.

Na ścianie poruszał się egzotyczny ogród, patem długi dziwaczny domek z werandą.

– Oto nasz bungalow. Przetłumacz, Leonie.

– Oh, bungalow – ucieszyła się Angielka.

– Co jest z Agą? – znow ciężki zwrot dyrektora w moją stronę. – Chcę potem z tobą porozmawiać – mówi szeptem.

Kiwam głową, uśmiecham się na znak, że chętnie, i udaję, że uważnie przyglądam się kolorowym obrazkom, biegającym po ścianie, wyczarowanym przez superkamerę japońską, bezszmerową, z kompletem obiektywów i filtrów za trzysta dolarów, na superbłonie kolorowej angielskiej, kupionej w Kongo. Wpatruję się więc w ścianę, ozdobioną kongijskim bungalowem, i zastanawiam się, co jest z Agą, czy przyjdzie, zastanawiam się, czy ten reżyser z filmu po wczorajszej rozmowie złamie się, czy też będzie dalej ciągnął sprawę, co by mogło mieć dla mnie najgorsze następstwa, o których nawet nie bardzo chciałem myśleć. Tak naprawdę to byłem prawie pewny, że się wycofa. W końcu mógł uwierzyć, że kogoś na niego napuszczę albo sam mu zrobię jakąś przykrość. Wyglądał na człowieka ostrożnego, który się zawsze zastanawia i każdą rzecz ogląda z kilku stron. To mi się nawet w nim podobało podczas wczorajszej rozmowy w najwytworniejszej kawiarni–hotelu, przeznaczonej zasadniczo tylko dla gości zagranicz-

nych, że nie oburzył się, nie zerwał, nie przewrócił kawy, tylko patrzył na mnie z namysłem. Ja go świetnie pamiętałem i on też mnie powinien pamiętać sprzed paru lat, kiedy jeszcze nie pracowałem w Instytucji jako kierownik działu, przed ślubem z Agą. Widywał mnie wtedy w tej samej kawiarni w dość groźnych zestawach – z Bombą, Wasserwagą – i właśnie z tamtego czasu i za tamte sprawy, a nie za moją obecną pracę, samochód i koszule non-iron miał dla mnie ostrożny szacunek. Wtedy zresztą inaczej też na mnie patrzyła Aga, z podziwem i oddaniem, właśnie w tej kawiarni. Kiedy ja byłem ostry, zimny i zastanawiałem się nad nią, nad jej ojcem i tą pracą. Zastanawiałem się spokojnie, bo miałem świetną pozycję wyjściową i dużo do stracenia. Kiwałem głową znajomym – było ich bardzo dużo – a ona odwracała się ciągle, wyłapywała spojrzenia kobiet, które uzupełniałem informacjami: marka samochodu, miejsce pracy ojca, położenie willi. Rzucałem jej to, czasem przesadzając, i wiedziałem, że ją to złości, denerwuje, upokarza, widziałem, że chce się podnieść i wyjść. Raz nawet wyszła, ale już po dziesięciu minutach przywitałem ją spokojnym uśmiechem. Kupiła sobie wkrótce zamszowy kostium i krótko obcięła włosy. Chodzenia śmiesznym, energicznym krokiem oduczyłem ją dopiero potem, już po ślubie.

– A to jest nasz następny bungalow, już po przeprowadzce, ale przed okradzeniem, do którego jeszcze powrócę. Leon, przetłumacz.

– *Interesting* – uśmiechnęła się sucha Angielka w za dużych okularach. Korespondentka szanowanej gazety londyńskiej, poznająca życie polskiej rodziny, zorganizowana przez ciotkę w samolocie i odtąd za pośrednictwem Leona włączona w rytm jej zajęć jako moment nowy, a już niezbędny. Oglądała więc teraz, wystająca sztywno z fotela, w tweedowej spódnicy odsłaniającej suche kolana, jak na zabarwionej ścianie w egzotycznej scenerii ciotka, przygarbiona, z ciężkimi, wiszącymi piersiami i siwymi włosami, biegnie opięta w skąpy kostium kąpielowy, a za nią wolno idzie wuj Leon, lekarz polski w Kongo, doktor Judym na dwuletniej dewizowej umowie, w krótkich spodenkach, przykryty kolorowym kapeluszem. Idą w stronę bungalowu, przed którym na werandzie buja się w hamaku Eryk. W drzwiach staje czarny służący.

– Bardzo się z tego bungalowu cieszymy. A to jest służący, którego podejrzewamy o kradzież – już o niej wspominałam. Przetłumacz, Leonie.

– To wprost wspaniałe – zachrypiał dyrektor w stronę swojej siostry. – Siedzimy w domu, na naszej ziemi, ulica Puchatka Kubusia, śnieg za oknami, a tu Kongo, a w nim nasza rodzina.

Ciotka aprobująco kiwnęła głową. – Ładnie to powiedziałaś. – I po chwili namysłu: – To też, Leonie, przetłumacz.

Teraz szary Ford–Mustang, kupiony za pierwsze dewizy, na tuzin rat, miękko sunie przez busz.

– Busz – wyjaśnia ciotka.

Celowo omija mnie wzrokiem. Nie widzi ciepłego, pełnego oddania uśmiechu. Teraz, po skomplikowaniu się sytuacji z Agą, starałem się ją na różne sposoby pozyskać, przychodziłem na wszystkie wieczory po ich powrocie z Konga, zawsze brałem jej stronę przeciw Leonowi, ale ona mi nie mogła zapomnieć kpin z jej wiedzy o życiu i z zachłanności na ludzki podziw. Nienawidziła mnie prawie za odciąganie od niej Agi. Nie mogła wybaczyć bratu, że zgodził się na nasz ślub, nie wierzyła tu zresztą miała wyjątkowo trochę racji – w moje zdolności. Dawniej mi to wszystko było obojętne, ale nie teraz. Więc uśmiechałem się i pomagałem jej tępić Leona, zawsze pozostającego w jej cieniu, miłego, porządnego człowieka, którego lubiłem, a który przekreślił się ostatecznie krótkim, nieudanym romansem w Kongo, przerwany przez przyjazd ciotki. Ciotka uznała go od tego czasu za nienormalnego i nie dopuściła do przedłużenia kontraktu. Współczułem mu, ale nie stać mnie było na żadną filantropię. Dyrektor liczył się z siostrą. Musiałem też bardzo uważać na Eryka, jego zdolności taktyczne zacząłem doceniać dopiero po powrocie z Jugosławii – świetnie wyczuwał nastroje, wygrywał uczucia i bezlitośnie, celnie donosił. Sprawę załatwił dopiero rower. Czuję do siebie wstręt, bo szczeniaka nienawidziłem, ale uznałem to za potrzebne. Aga zaczęła mi się wymykać w Jugosławii; nie miałem wtedy

żadnych podejrzeń i nie wyczuwałem niebezpieczeństwa. Było dużo słońca, pięknie się opaliłem, utylem trochę, ale wyglądałem jeszcze bardzo efektownie. Ciotka ćwiczyła Eryka w konwencjach, ja rozmawiałem z dyrektorem – potężnym, wylewającym się z elastycznych spodenek – o sprawach Instytucji, w której miałem już własny pokój, nie bardzo nawet daleko od jego gabinetu, i szybko kończyłem przerwane studia, za co mi ta Instytucja płaciła stypendium.

Aga nie miała nad morzem humoru, ale ciągle nie było jeszcze źle, było ciepło i wygodnie. Myślałem o tym koledze ze studiów, którego przed tym wszystkim odwiedziłem w Instytucji i wychodząc od niego zobaczyłem, po raz pierwszy, idącą do ojca Agę. Ona mnie wyraźnie zauważyła, a ten kolega skłonił się z podziwem, oczy mu zabłyśły i zaczął mówić o niej, rozmazując się płaczliwie coraz bardziej i nie widząc dla siebie ani dla nikogo żadnych szans, a ja patrzyłem na nią i zastanawiałem się. Potem, na początku znajomości z Agą, widziałem jego nieukrywaną niechęć i zazdrość, zastąpioną jeszcze później ogromną serdecznością. Myślałem o tym wszystkim, oddychając dewizowym powietrzem, mocząc się w Adriatyku i gawędząc nad koniakami z dyrektorem, który brał mnie często pod rękę i chodziliśmy wieczorami na spacer, obaj w tropikowych garniturach, on w ciemniejszym, i słuchałem jego opowiadań o pierwszych latach Instytucji, o okupacji. Nawet przyzwyczałem się do niego trochę. Chodziliśmy, jak wypadało, zawsze sami na męskie rozmowy. Kiedy wracałem, Aga zwykle spała. Potem dopiero powiedziała mi, że udawała.

Ostrzejszy, wibrujący głos ciotki: – A oto konkubina Leona. Leon, przetłumacz.

– Daj spokój, proszę – Leon zszarzał na twarzy jeszcze bardziej. – Proszę – powiedział trochę piskliwie.

– Tłumacz, proszę. Nie wstydzę się niczego w moim życiu i nie widzę powodu, żebym miała cokolwiek ukrywać.

Szczupła, najwyżej trzydziestoletnia brunetka w obcisłych spodniach uśmiechała się na ścianie do rozpromienionego Leona.

– Inaczej ja będę musiała zacząć tłumaczyć albo Eryk. Uczył się przecież dwa lata. To też przetłumacz.

– Ma charakter – uśmiechnął się dyrektor w moją stronę. – Trzeba jej to przyznać. Zawsze taka była – wziął mnie na moment jak dawniej za ramię – .proszę ciebie, od dziecka.

Wuj ciągle jeszcze milczał, już nawet zacząłem myśleć, że spróbuje się zbuntować, chociaż oczywiście był zupełnie bez szans. Ale nagle załamał się i zaczął mówić.

– Oho! – roześmiała się Angielka w stronę ciotki, mrużąc oko.

Ciotka również uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo i też zmrużyła oko. Tymczasem projektor, ustawiony przez wuja Leona na specjalnej półce, wymienił już obraz na ścianie na zupełnie neutralny. Leon podniósł się nagle, niezręcznie wymijając fotele przeszedł przez pokój i zniknął w korytarzu. Angielka znów uśmiechnęła się do ciotki, ciotka jej odpowiedziała. Dyrektor się roześmiał, a za nim ja, czego bym, gdyby nie trudna sytuacja, raczej nie zrobił.

– Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy nasza herbata już się zaparzyła – popisała się ciotka. I przyprowadź z powrotem swego ojca.

– Już idę, mam – uśmiechnięty Eryk wysunął się z pokoju.

Potem, po Jugosławii i jeszcze po Rumunii, sprawa z Agą zaczęła nagle wyglądać konkretnie. Skończyła architekturę, mówiła o wielu zajęciach na mieście, często wychodziła z domu. Mnie to nawet nie bardzo przeszkadzało, odwiedzałem dyrektora, pisałem pracę dyplomową, co jakiś czas robiłem sobie trochę gimnastyki w klubie, gdzie dawniej podnosiłem ciężary. Poza tym lubiłem siedzieć w domu sam, mieszkaliśmy ładnie, nowe bloki, Saska Kępa, siódme piętro, widok na Wisłę. Wszystko było proste, a dawne sprawy, znajomości i napięta ostrość sprzed ślubu odsuwały się coraz dalej, robiły prawie nierealne. Potem dowiedziałem się, że Agę widywano ciągle z pewnym znanym architektem, że widywano ich na dansingach w hotelu i potem w jego samochodzie. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że ludzie się zmieniają, i tego samego wieczoru, kiedy wróciła do domu, powiedziałem jej o wszystkim z uśmiechem, pogar-

dliwie, lekceważąco cedząc słowa, a ona stała jeszcze w palcie w dużym hallu naszego mieszkania i nie mówiła na razie nic. Wtedy wyminąłem ją, trzasnąłem drzwiami i zbiegłem z siódmego piętra, czekając ciągle i nasłuchując jej wołania i stuku obcasów. Potem czekałem jeszcze chwilę przed domem, zanim wyprowadziłem Volkswagena z wygodnie pod domem usytuowanego garażu i pojechałem do kawiarni w Hotelu. W kawiarni przysiadłem się do paru znajomych osób – szykowali się gdzieś na wieczór, rozmawiali o innych znajomych, tych, którzy już tu nie przychodzą, poszli w górę albo w dół. Zostało już nie tak wielu. Mnie uważali za tego, który poszedł w górę. Pytali o Volkswagena – słuchałem coraz mniej uważnie, zastanawiając się, dlaczego przegrałem rozmowę z Agą, dlaczego za mną nie wybiegła, i wtedy pierwszy raz zacząłem myśleć o różnych konsekwencjach. Potem wyszedłem, chociaż serdecznie mnie zapraszali, ale ja wtedy już w myślach rozgrywałem sprawy z Agą, a ich zaproszenia też były inne, za serdeczne. Więc wróciłem do domu, odstawiłem samochód do garażu. W windzie przejrzałem się uważnie w lustrze, patrzyłem na cofnięte włosy i poszerzoną twarz, potem szybko odsunąłem się i już przed samym zatrzymaniem windy spróbowałem wyprowadzić parę ciosów.

Podniosłem ją krzykiem na nogi, ona też zaczęła krzyczeć, uderzyłem ją, kiedy powiedziała, że ją oszukałem. Cofnęła się i przestała mówić. Zrobiła się bardzo spokojna i szła w stronę drzwi. Zrozumiałem, o co jej chodzi. Wyczułem, że to uderzenie ułatwia jej sytuację, więc złapałem ją za rękę i uderzyłem drugi raz, mocno, i wtedy wreszcie zaczęła płakać. Byłem strasznie zdenerwowany, ale poczułem wielką ulgę, i rzeczywiście, nie chciała już wyjść. Rozmawialiśmy potem długo, wtedy jeszcze opanowałem sytuację. Przez jakiś czas nie wypuszczałem jej samej, chodziliśmy razem do Hotelu, spotykaliśmy architekta, ale on wycofał się zupełnie – miałem jednak metr osiemdziesiąt pięć i podkreślone marynarką szerokie ramiona. Zresztą Aga już nie traktowała go poważnie.

– Na tym na razie kończymy. Leonie, proszę o światło.

Zmrużyłem oczy, zaatakowane nagłym błyskiem przemyślnie umieszczonych żarówek.

– Teraz będzie herbata, wieczorna herbata nie tylko w Anglii jest instytucją. Przetłumacz, Leonie. Eryku, bądź łaskaw sprawdzić, czy ktoś nie dzwonił. Nie? To zabawne. Mam po tej Afryce słuchowe fantasmagorie. Jaka szkoda, że Aga straciła dzisiejszy wieczór. – To już powiedziała ciotka do mnie, ale nade mną.

– Zupełnie nie rozumiem – rozłożyłem bezradnie ręce.

Dyrektor dystyngowanym ruchem podciągając mankiet ukazał złoty kwadratowy zegarek ze stoperem i kalendarzem. – Dziewiąta godzina, ależ nam zleciało!

Wuj Leon wrócił z kuchni manewrując egzotyczną tacą z dziwacznie drażzonymi filiżankami. Parowała w nich herbata zakupiona w drodze powrotnej s t a m t a d. Angielka spróbowała i nadała twarzy wyraz zachwyty. Potem coś szybko mówiła do Leona.

– Chodzi o tę historię z czasów okupacji... – zaczął Leon.

– Rozumiem – przerwała ciotka. – Obiecałeś – uśmiechnęła się do dyrektora.

– No, no. Czy uważasz, doprawdy, że to interesujące? – skromnie skrzywił się dyrektor.

Angielka wyciągnęła z torebki zgrabny bloczek z wybitym na wierzchu tytułem liberalnego tygodnika. Pod uważnym spojrzeniem ciotki pociągnąłem mały łyk herbaty i prawie dorównałem Angielce zachwyconym uśmiechem. Dyrektor mógł opowiedzieć jak zawsze jedną z trzech historii: o gołębiarzu, o czołgach i o granacie. Byłem nawet ciekaw, którą wybierze. Stosunkowo najznajmniej była o czołgu. Dyrektor, pogodnie uśmiechnięty, spojrzał kokieteryjnie na Angielkę, kreśląc wstępne uwagi srebrzystym długopisem.

– Tylko, rozumie się, bez nazwisk. *Without names*, rozumie się.

– *Of course* – kiwnęła ze zrozumieniem głową Angielka.

– Przypomnij jeszcze, Leonie, że my, niestety, spędziliśmy okupację w Rumunii.

– Stoję więc w oknie piątego piętra – płynnie, z wprawą zaczął dyrektor – pode mną barykada, za nią Niemcy. Chaos, pożary. Repetuję, strzelam, repetuję, strzelam, łuski się sypią... Nagle gołębiarz!...

Piętnaście po dziewiątej. Aga może już być w domu. Ciekawe, jak wyglądała ich rozmowa. Ciekawe – to określenie trochę za słabe, jeżeli chodzi o moją sytuację. Bo na pewno poszła się z nim spotkać. Oczywiście, on mógł w ogóle nie przyjść, sądzę jednak, że przyszedł. Wczoraj, podczas rozmowy w Hotelu, powiedział mi, że przeżył wojnę, latał nad Anglią, a teraz ma dość spraw i problemów i uważa, że mu się to należy. To brzmiało obiecująco. Wyglądało, że dał się trochę zastraszyć. Przewidywał zresztą kłopoty raczej słusznie, bo sytuacja była teraz krytyczna. Od momentu kiedy pojawiło się słowo: rozwód, musiałem coś przeciw niemu wymyślić. Równocześnie zaczęła zaostrzać się sytuacja w Instytucji. Wcale nie były przypadkiem coraz krótsze, surowsze rozmowy z dyrektorem, który jednak coś wyczuwał, i nie opowiadał mi już o czołgu. Dlatego powiedziałem szczerze reżyserowi na jego: że Agę lubi, ceni i szanuje i przy niej naprawdę odpoczywa, że dla mnie znaczy ona o wiele więcej, stąd moje na razie uprzejme propozycje, żeby się zgubił. Przed sprawą z reżyserem dyrektor radził tylko, bo też do niego coś niecoś dochodziło, oczywiście nie ode mnie, ale radził dość serdecznie, potem bardzo ochłódł. To była też działalność ciotki, która wyczuwała wszystko o wiele lepiej. Jakies pół roku temu, kiedy powtórzyła się historia z architektem, wpadłem na pomysł, żeby wykorzystać swojego ojca. Mieszkał sam po wymianie mieszkań, miał emeryturę i paczki od matki ze Stanów, z których dawniej urywałem sporo, a teraz już nie musiałem. Ojciec pisywał również anonimy, najpierw dla przyjemności, z żalu do ludzi i do matki, potem już prawie zawodowo, na zamówienia sąsiadów. Dawali mu za to prezenty i dziękowali. Poprosiłem więc, żeby na Agę napisał, że dziwka, i coś w tym rodzaju. Zrobiłem mu wielką przyjemność, bo miał do mnie żal, że go rzadko odwiedzam i nie proszę o rady, a sam pokazałem anonim Adze.

– Proszę, co pisał! – Ona zaczęła się śmiać, chociaż anonim był zupełnie zgrabny. Powiedziała, że ludzie się zmieniają, więc ona i ja też się zmieniamy, bardzo zmieniamy. Śmiała się jednak trochę boleśnie i widać było, że wrażenie to na niej zrobiło. Potem znów trochę wychodziliśmy razem, poprawiły się stosunki w Instytucji, zrobiłem dyplom i wymieniałem Volkswagena na nowszy model. I dopiero wtedy zaczęła się sprawa reżysera.

– Zupełnie ostygła ci herbata – ostry, karcący szept ciotki.

– Rzeczywiście – szybko podniosłem filiżankę. Złapałem ciepłe spojrzenie Leona, który coraz bardziej zaczynał czuć się ze mną solidarny. Zupełnie mnie to nie cieszyło.

– ...I wtedy zza zakrętu wyjeżdża na nas kompania czołgów...

Więc skończył już z gołębiarzem. Angielka pilnie notowała, dyrektor miał zaczerwienioną twarz i niezgrabnie machał rękoma. Poprawiłem się w fotelu. Było wpół do dziesiątej. Czuję wzrastające napięcie. Coraz niecierpliwiej czekałem na dzwonek u drzwi albo telefon. Dyrektor przechodził już do trzeciej, ostatniej historii, wuj z porozumiewawczym uśmiechem podsunął mi ciasteczka, ciotka rozłożyła przed Erykiem ilustrowany angielski album, po czym z pewnym roztargnieniem rozejrzała się po pokoju, szukając następnej atrakcji, gdyż dyrektor wyraźnie zbliżał się do końca. Ja wiedziałem już, że Aga nie przyjdzie, i zastanawiałem się, czym naprawdę mogę zagrozić reżyserowi, jeżeli się nie wycofa. A wszystkie pomysły wydawały mi się głupie i nieprzydatne, nawet ten z pobiciem. I powróciła znowu myśl, że źle postawiłem, od samego początku źle postawiłem, i wtedy poczułem, że wilgotnieją mi ręce i ogarnia rżnie wielka złość i żal. Potem zmusiłem się, żeby przestać o tym myśleć, i obserwując pokój zagłębiłem się jeszcze bardziej w fotelu, pociągnąłem spory łyk wystygłej herbaty, ciepło, serdecznie uśmiechnąłem się w stronę dyrektora, postanawiając, że niezależnie od wszystkiego nie dam się przekreślić i usunąć, nie będę zaczynał od nowa, nie zaprzyjaźnię się z wujem Leonem. Poczułem się mocniej i pewniej i zauważyłem, że ogromna słomiana mata zasłaniająca okno przestała mi się wydawać tak obskurnie tandetna.

WIELKI BRUDZIO

Dodek wszedł wolno do środka, kiwnął głową uśmiechniętemu szatniarzowi, uważnym, wypracowanym spojrzeniem skontrolował salę kawiarni. Paru cudzoziemców, parę dziewczyn z nimi, nic ciekawego. Usiadł w głębi na stałym miejscu; miał stąd dobry punkt obserwacyjny, sam nie rzucając się niepotrzebnie w oczy.

– Duża kawa, koniak. – Uśmiechnął się do kelnerki, przerwał na moment podrzucanie kluczyków od zaparkowanej przed kawiarnią białej Florydy, ostrożnie podniósł kieliszek. Zaraz powinni być, jeżeli Niutek nie nawali, to już lada chwila. Chyba jednak nie powinien, Niutek zna prawa businessu. W końcu przy jego układach nie sprawia mu to żadnego kłopotu, a zysk oczywisty. Wejdę mu kilkoma złotymi. Z małym dam już sobie radę. Podobno bystry chłopak, tylko rozbeatlesowany. Ale czego się nie robi...

Dodek ma już trzydziestkę, maskuje to młodzieżowym uśmiechem, artystyczną koszulką polo, zamszową marynarką i ciemnymi okularami. W środowisku ma niezłą pozycję: wiadomo, że kręci się przy filmie, zna ANDRZEJA, JERZEGO, ELŻBIETĘ. Przy tym ojciec dosyła z Zachodu, odwiedził ostatnio, zostawił wóz. Ale są też kłopoty, zwłaszcza z tą sprawą. No, niby nic takiego, ale gdyby rodzice tamtej naprawdę złożyli skargę, w środowisku byłby spalony absolutnie. Jeśli nie byłaby jeszcze gorzej. To bardzo głupia sprawa i nieprzyjemna. Znów dzwoniли starzy dziewczyny, więc teraz chodzi o czas, o przewleczenie. I potem – czy mu się sprawdzi ta koncepcja. W każdym razie bardzo nieprzyjemna sprawa.

Uważnie przeprowadził wzrokiem wchodzącą parę. Francuz ustawia – otaksował sprawnie. Czterdziestoletni łysiejący brunet z wąsikami i osiemnastka, zamszowy kostium, znana z widzenia, bardzo duże pieniądze, Saska Kępa. Nie ma, cholera, Niutka!

Szybkim ruchem wypił resztę koniaku. Za szybkim – skrytykował się natychmiast. Uśmiechając się do siadającej obok pary puścił w ruch kluczyki od Florydy. Spojrzał na zegarek. Dwa-dziesiąt minut.

Reżimek szedł szybko w stronę domu. Zerwał się z ostatniej lekcji i teraz spieszył się, żeby zatrzymać szofera służbowego wozu ojca. Miał skoczyć po niego pod szkołę, wycwanił się, za taki przyjazd dychę bierze. Z góry! Jak zdążę, to mu jeszcze za dzisiaj odbiorę. Przez starego ten cały kłopot. Dawniej nawet sarną teczkę szofer odwoził i w szkole stary porozmawiał w trudnych momentach, a przekonywać nauczyciela umiał – w tej nowej szkole oczywiście, bo w starej byli sami swoi i żadnych kłopotów w ogóle. Już, już miał nawet Morrisa kupić. Teraz mówi, że po maturze, a to w najlepszym razie jeszcze prawie rok. Tygodniówkę zmniejszył, wozu nie daje teraz nawet poprowadzić, potem się dziwi, jak się coś zrobi.

Skreślił w cieniastą aleję, zastawioną solidnymi domami. Wcisnął głębiej wyglądające z kieszeni farmerskiej bluzy dwie nowe pocket-books i pocztówkowe nagranie beatlesów. Przygłodził krótko ostrzyżone włosy, uśmiechnął się. Z tym ostatnim otworzonym Fiatem 1500 było bardzo śmiesznie. Podjechał pod szkołę, wziął Beatę, Magdę, potem doskoczył Bob, związała ich milicja dopiero pod Płockiem.

Zgrzyt hamulców. Podpatrzonym na westernach ruchem odwraca się błyskawicznie.

– Podrzucić cię? – Niutek gościnnie otwiera drzwi białego Fiacika 600.

– Lecę tylko tu do chaty. Nie ma go, – Machnął ze złością ręką nie widząc zaparkowanej zwykle o tej porze przed domem efektownej limuzyny ojca. – Już po mnie pojechał, przepadła dycha.

– Nie masz teraz czasu? Moglibyśmy skoczyć rozejrzeć się, może gdzieś coś się dzieje.

– Potem. Muszę przegrać beatlesów na magnetofon. Wziąłem płytę i muszę oddać za gadzinę. Wpadnij, jak chcesz posłuchać.

– To wsiadaj – Niutek otworzył drzwiczki. Poznajcie się. To jest Andrzej, studiowałem z nim trochę, wpadnie ze mną.

Reżimek uściskał dłoń szczupłego wysokiego blondyna w spodniach khaki i spłowiałej welwetowej koszuli.

Niutek ostro ruszył. Ostatecznie można wpaść, Dodek może poczekać. Nawet lepiej, jeżeli trochę poczeka. Właściwie ciekawe, dlaczego tak mu zależy na szybkim poznaniu Reżimka. Ale to już jego sprawa. Parę złotych pożyczczy.

Niutek ma kłopoty z pieniędzmi. Rzucił pracę instruktora na prawie jazdy, matka wściekła się i nie chce mu pożyczyć tych pięciu tysięcy, ona zresztą w tym wydawnictwie rzeczywiście za dużo nie zarabia. Teresa się skończyła, no, wprowadzie został po niej ten wózek z przydziału i pozycja towarzyska. A to procentuje. Choćby właśnie sprawa z Dodkiem. Tyle że teraz silnik bardzo nawala, wypadaloby wózek zmienić na nowszy, a przedtem stary dobrze sprzedać. Kupiec już niby ustawiony, tylko trzeba pięć tysięcy szybko włożyć w kosmetykę. Dodek dużo nie pożyczczy. Nie jest za dobrze.

Reżimek mocuje się ze skomplikowanym systemem zamku. W hallu Betsy – nieduża, trochę za tęga, w okularach, odprowadza właśnie kolegę z uniwersytetu.

– Cześć. Uczyliście się właśnie matematyki wyjaśnił z nieśmiałym uśmiechem sąsiad z wyższego piętra.

Kid raz jeszcze skontrolował przed lustrem gładko wygolone policzki, nienagannie zawiązany krawat. O drugiej miał skoczyć do szkoły po Wandę. Wyszedł z łazienki, narzucił marynarkę, zbiegł po schodach na dół, do living roomu. Są jeszcze! skrzywił się.

Ojciec nobliwy, szpakowaty, pan Olek oraz jakiś trzeci, o wyglądzie rzemieślnika, na jego widok urwali rozmowę.

– Mam dziś imieniny. Mógłbyś dać wóz?

– Proszę cię bardzo. – Kid złapał w powietrzu rzucone kluczyki.

– Jak studia? – pan Olek uśmiechnął się przyjaźnie. – Trzeba małemu :kupić wóz, wstyd, żeby ciągle .pożyczał. Za rok doktor, i co?

– Na razie starczy w domu jeden. – Ojciec Kida sięgnął do kieszeni. – Jak z pieniędzmi? – Na dziś tak. Jak sprawy?

– Dojrzewają – uśmiechnął się pan Olek dojrzewają. – Ten trzeci, nowy, obojętnie patrzył przez okno.

Kid wyprowadził z garażu błyszczącego Forda, wyminął stojącą przed willą Syrenkę pana Olka. Cwaniaczek, maskuje się. Z opowiadań ojca wiedział, że pan Olek ma talent do interesów. A staremu trzeba przyznać, że na ludziach się zna. Robi przyjemne businessy.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście minut Wanda wychodzi ze szkoły, zdąży akurat. Wszystko rozwija się prawidłowo. Obstawiał chyba słusznie. No, to na pewno był duży zbieg okoliczności, że ich spotkał nad morzem, zwłaszcza w tamtym układzie. Z Sylwią nudzili się trochę w tym kurorcie, chociaż stary zostawił mu parę złotych. Ten ośrodek obok, gdzie Witold z siostrą spędzali sierpień, to była duża atrakcja. Zamknięty teren, świetne wille nad samym morzem, jezioro, kajaki, własna plaża, cieć przy bramie. Duża atrakcja i jeszcze coś więcej. To było właśnie dojście, to właściwe dojście. Dzieciom było tam dobrze, ale też im się nudziło, no i dość krucho byli z forszą. Starzy pojechali do Włoch, ich zostawili, żeby poznawali kraj, i dali im tylko na słodycze.

Wjeżdżał już do śródmieścia, zmniejszył szybkość, przepuścił zatłoczony tramwaj. Śledzie!

Więc właśnie przez ten wyjazd ich rodziców on finansował te koniaki i dansingi w kurorcie obok. Wziął ich na forszę i Forda, którego mu stary podesłał. Śmieszny ten stary. Ładnie myśli, a tu jednak nie od razu się zorientował. Siedzi w tych swoich badylarskich interesach i jakby zaczynał się gubić.

Skreślił w boczną ulicę. Przed szkołą zobaczył Wandę z dwiema koleżankami.

Nic nie szkodzi, że odstąpił Witoldowi Sylwię. Poza wszystkim ta Wanda jest bardzo przyjemna. Ostro zahamował. Mała lubi mocne efekty.

Dziesięć minut później Niutek zatrzymał wóz przed kawiarnią w „Europejskim” i rozejrzał się uważnie – białej Floridy na parkingu nie było. Zerwał się już? No, w każdym razie należy sprawdzić.

– Wyskakuj. Klamka do dołu – kolejny raz pouczył Andrzeja. – W porządku, wyrabiasz się. Zajrzyjmy. Nie żartuj – przeciął podawane zresztą bez przekonania wyjaśnienia Andrzeja, że właściwie powinien skończyć projekt. – Albo chcesz coś poznać, albo nie chcesz.

Drzwi uchylił portier w uniformie, minęli pusty boczny baryk. Potem Niutek kiwnął głową szatniarzowi i zatrzymali się przy wielkiej kotarze, oddzielającej hall i szatnię od gęsto zastawionej stolikami sali.

– Niewiele jeszcze ciekawego. – Skinął głową siedzącej z Pestką przy stoliku najbliższej wyjścia Armii Zbawienia: dwudziestoletniej blondynce, ubranej pod stewardesse.

– Zostaw to – powstrzymał zainteresowanie Andrzeja.

Z samego końca sali pomachała Sylwia.

– Idziemy. Można na chwilę? To jest Andrzej. – To jest Paul, Francuz. Siadajcie.

Wymienili uściski dłoni z patrzącym na nich bez przekonania Francuzem.

– Pracownik ambasady – uzupełniła szybko Sylwia.

– Kiedy wróciłaś? – Wczoraj z Kidem.

– Nigdzie cię wczoraj nie było widać. – Wróciłam w nocy.

– Słyszałem, że coś się zmieniło. Nowy układ? – Od kogo słyszałeś?

– Od ludzi. – Nic dużego.

– Aha. – Niutek już tylko dla zasady rozejrzał się. – Nie widziałaś przypadkiem Dodka?

Taki czarny, przystojny, z filmu, biała Florida. Pokazuje się czasem z ELŻBIETĄ.

– Owszem, był tu, siedział sam, wyszedł chyba pół godziny temu.

Czterdzieści minut czekał – szybko obliczył Niutek. – Bardzo mu zależy, to już pewne.

– A co, szukasz go? – Mały business.

– Film? – z szacunkiem spytała Sylwia.

– Coś w tym rodzaju. Już go możesz uspokoić, idziemy – uśmiechnął się do zaniepokojonego Francuza. – Żegnamy się, Andrzej. Złapiemy go w Spatifie.

Uklon szatniarza, dwójka portierowi i Niutek otworzył wóz.

– Wymieniam go na kabriolet, jak jest gorąco i wóz postoi na słońcu, to mała przyjemność. Opuścili szyby.

Wyprowadzając Fiacika Niutek zlustrował jednocześnie zaparkowanego obok, efektownego Peugeota na paryskiej rejestracji. – Pewnie Paul uśmiechnął się do Andrzeja. – Jak Sylwia?

– Bardzo efektowna i miła. Bardzo.

– Tak, bardzo bystra, bardzo duże pieniądze i bardzo dokładnie jest poobstawiana.

– Myślisz, że co? Ten Paul? – skrzywił się sceptycznie Andrzej.

– Daj spokój – uśmiechnął się Niutek. – Naprawdę daj spokój. Nie w tę stronę.

Przed Spatifem biała Florida.

No i jest tych moich – zastanowił się chwilę – tysiąc złotych. – Zostań teraz w wozie zatrzymał Andrzeja. – To będzie bardzo prywatne.

– Co nowego, panie Franiu? – uśmiechnął się do kontrolującego karty wstępu nieznanego szatniarza.

- Pan Bob siedzi. – Bob?! Za co?
– Za duży numer. – Pan Franio obejrzał frencz Niutka. – Ładną rzecz masz, człowieku, włoski płaszczyk.
– Kiedy zwiążali Boba?
– Wczoraj. Niedobrze. Pan Bob był mi winien pieniądze. Posiedzi.
Dodek siedział przy stoliku z ANDRZEJEM. – Można cię na chwilę przeprosić? – Niutek z szacunkiem skłonił się ANDRZEJOWI.
Nie przedstawił, palant – myślał wychodząc z Dodkiem do hallu. – Szanuje się, filmowiec! – Wybacz, stary, nie mogłem przyjść, ale załatwiłem. Trudno było – dodaje po chwili. Bardzo trudno. Dziś o ósmej idziemy do niego na imieniny.
– W porządku! – Dodek sięga do kieszeni. Zdaje się, że chciał ode mnie coś pożyczyć.

O ósmej wszystko już było przygotowane. Reżimek wcześniej zmienił farmerską bluzę na zamszą marynarkę, koszulkę polo na non-iron. Gabinet ojca, otworzony nie bez trudu – ojciec wyjeżdżając zabrał klucz, uzupełniając w ten sposób swoją wypowiedź, że nie życzy sobie żadnych wizyt – ukazywał budzące szacunek, błyszczące solidnymi grzbietami tomów regały, skórzane fotele, biurko trochę staromodne, za duże, ale w dobrym stylu. Spokojne wnętrza rozjaśniały reprodukcje impresjonistów. Już dobre parę lat temu, równocześnie ze zmianą kierunków wyjazdów zagranicznych ojca, nastąpiło przemeblowanie. Matka, nauczona poprzednimi doświadczeniami, nie zamykała już niczego.

Jeszcze ostatnie spojrzenie na ruchomy barek, zastawiony butelkami – zakąski w kuchni – na porozrzucane w dwóch głównych pokojach na tapczanach „Paris Matche” i „Play Boye”, rzut oka na Betsy i – można przyjmować.

Betsy, trochę niepewnie czująca się w skórzanej wąskiej spódnicy, w której nie wygląda najlepiej, bo jest na nią trochę za niska i za gruba, we włoskim sweterku zgniozłozelonym i w wysokich szpilkach, poprawia okulary, kiwa głową i już głośno nastawia beatlesów, myśląc, że byłoby dobrze, gdyby Robert już przyszedł, najlepiej jako pierwszy. Betsy w ogóle nie lubi dużych przyjęć, na których zawsze się peszy. Tu, mimo że jest u siebie, też nie czuje się swobodnie. W każdym razie jest zdenerwowana i dlatego, że nie jest ładna, najwyżej sympatyczna, i wie od brata, że nie ma stylu. Ani ładna nowoczesna, ani intelektualistka, mimo tych okularów, których przecież mogłaby nie nosić. Bo właśnie nie ma konwencji, mimo że brat stara się jej coś wypracować, i to on namówił ją na okulary, chociaż jej drugiego roku na matematyce nie szanuje. Robert ma oczywiście dużo minusów, nie jest najprzystojniejszy, ale jest przy niej stale, a to się liczy, bardzo liczy. Dlatego Robert mógłby już przyjść. Mieszka w tym samym domu, tylko że on na pewno, też z podobnych przyczyn, przyjdzie później, bo bardzo nie lubi być pierwszy. Dlatego kiedy wreszcie jest dzwonek, wie, że to nie Robert, gdy przynaglona spojrzeniami Reżimka przygląda podnoszącą się ciągle grzywkę i idzie do drzwi.

O dziewiątej są już wszyscy.

Witold tańczy z Sylwią już trzecie nagranie, ye ye ye wyraźnie zwalnia, nie lubi beatlesów, przyjęcie ich przez księcia Filipa uważa za *faux pas* i nonsens. Jednak jakieś formy obowiązują. Zresztą jest zmęczony. Wczoraj po dłuższej przerwie wreszcie odbył dość forsowną przejażdżkę konną – wyszedł z wprawy. Trzeba będzie teraz wziąć się ostro za siebie. W ogóle nie przepada za tańcem, woli porozmawiać.

– Może się napijemy?

– Oczywiście, jeżeli chcesz.

Sylwia jest bardzo ładna. Bezbłędne maniery, układ sylwetki. Taka jeszcze przecież młoda, a cztery języki biegle opanowane, świetny angielski akcent. No cóż, praca w ambasadzie. Witold potrafi ocenić ten akcent.

– Koniak?

Zatrzymali się przy barku. Napełnił kieliszki. Jak świetnie się złożyło, że akurat na te wakacje rodzice zostawili ich w kraju. Jak to dobrze, że Kid tak ogromnie zaangażował się z Wandą i że nic poważnego nie łączyło go z Sylwią. Długi szereg wspaniałych przypadków. Poza wszystkim nad morzem było bardzo przyjemnie. Oczywiście, to nie Adriatyk, ale w końcu to jest jego kraj.

– *Salut!* – wypili.

Dodek, rozparty w fotelu, bawi się kluczykami białej Florydy.

– Myślę właśnie o takim scenariuszu: dwie osoby, chłopak i dziewczyna, wchodzi do domu, do mieszkania, w którym mają spędzić swoją pierwszą noc. Kochają się. Wchodzi i potem rano wychodzą i nienawidzą się. Przeżyli jakąś tragedię. Jedność akcji, miejsca, czasu. Kilkadziesiąt ujęć, całość w kilkudziesięciu ujęciach.

Dodek czuje się dobrze. Sprawa rozwija się zgodnie z jego założeniami. Reżimka już przyciągnął, przyjemny chłopak, ładnie słucha, zna się na wozach, szanuje film, wszystko pasuje. I ta Wanda, siostra Witolda, też miła. Tylko bardzo młoda. W tym wypadku lepiej się nie angażować, nie ryzykować. Oczywiście, porozmawiać można, ale kierunek nie ten. Przekłada kluczyki od Florydy z prawej ręki do lewej.

– Napijemy się?

Wanda tańczy teraz z Kidem. Idzie im dobrze, zgrali się już nad morzem. Kid też świetnie wygląda z tymi spłowiałymi włosami. Brązowa cera, kontrast z koszulą, świetny garnitur.

Beatlesi przechodzą w bluesa, więc można porozmawiać. Kid przytula Wandę mocniej.

– Jesteś dziś najładniejsza. Wiesz, gdyby wyszła ta cała historia z mają pracą w Kongo, to za granicą urządzam się natychmiast. Zresztą tam płacą w dolarach. Potem ty do mnie przyjeżdżasz albo lepiej: spotykamy się pośrodku, w Paryżu, i bierzemy ślub w Paryżu. Daje nam go mer Paryża. Jestem w stanie to załatwić, mam tam znajomych i rodzinę, bardzo wysoko notowanych tam.

– Na pewno się uda – uśmiecha się Wanda. Na Witolda można liczyć.

– A na ciebie?

– Na całą rodzinę.

Ta, z którą przyszedł Niutek, jest już pijana. Niutek umie postępować z kobietami. Świetnie tańczy, potrafi rozmawiać. Wyciągnął ją z „Hybryd”. Ładna dziewczyna, kolorowa, mówi, że plastyczka. Nawet wygląda. Podobno mieszka w Konstancinie, willa, ogród. Zupełnie nowa twarz, ale ostatecznie Niutek maże sobie pozwolić na ekstrawagancję. Ta nowa też już skądś wie, że on i Teresa. Dlatego trzeba z nią ostro, z góry. Idzie dobrze, może być śmiesznie. Podnosi butelkę.

– Nic ci nie będzie – przełamuje jej wahania.

Tylko Andrzejowi jakoś nie idzie, z tym jest kłopot, widać od razu, że nie czuje się pewnie. Trzeba go trochę popchnąć.

– Czekaj tu! – Sadowi dziewczynę w fotelu, podchodzi do Andrzeja, przeglądającego z pozornym ożywieniem płyty. – I jak? Co jest z tobą?

– Bardzo tu jest przyjemnie – z przesadnym zadowoleniem uśmiecha się Andrzej.

– Dlaczego nic nie robisz? Przecież przedstawiłem cię. Czekaj, Magdo – podnosi drobną blondynkę, rozmawiającą z Wandą i Kidem. – Pozwól na chwilę. Nudzi się człowiek, o którym marzysz.

– Nie wygłupiaj się – uśmiecha się blondynka patrząc życzliwie na Andrzeja.

– Nalewamy. – Niutek przyciąga barek, napełnia kieliszki.

– Widziałem panią kiedyś na Legii. Bardzo mi się pani podobała – decyduje się Andrzej, stwierdziwszy, że dziewczyna niezbyt mu się podoba. Właściwie ładna, ale za drobna, za niska, nie jego typ. W końcu jednak obiektywnie jest dość ładna. A w ogóle to przecież nie obowiązujące.

– Gdzie się pan tak opalił?

– Byłem na studenckim obozie, nad morzem. Podchodzi do nich Teresa, świetnie opalona, w białym kostiumiku typu „Elle”. Wpadła na krótko złożyć Reżimkowi życzenia. Spędziła wakacje w Hiszpanii, ojciec wziął ją z sobą w nagrodę za zdanie egzaminów na drugi rok.

– Zazdroszczę panu – mruga na Niutka – ja niestety musiałam zostać na lato w mieście, pomagałam matce na działce. Sadziłyśmy trochę.

– Zostaw – interweniuje Niutek – to świetny chłopak, studiowaliśmy razem.

– Och, pan też studiuje? A co? – Teresa rozgląda się szukając Reżimka. Gdzie on właściwie jest? Może w kuchni?

– Na politechnice.

– Aha, na politechnice. To bardzo interesujące. Zawsze chciałam studiować na politechnice. Teresa studiuje ekonomię. – Świetnie wyglądasz – zwraca się do Niutka. Ich sprawa skończyła się już rok temu, ale robienie tego typu uwag Teresa uważa za dowód prawdziwie dobrego tonu. Jest pewna, że to się rozejdzie i będzie się podobało.

– Dziękuję. – Teresa psuje Niutkowi układ Andrzej–Magda, ale on również uśmiecha się. W pełni docenia znaczenie historii z Teresą w swoim życiu – to był zupełny przełom, skok w górę o parę piętér, początek pozycji towarzyskiej i w ogóle wszystkiego. Dlatego się uśmiecha.

– Dlaczego? – wtrąca się Andrzej. – Co dlaczego?

– Dlaczego chciała pani studiować na politechnice?

– Dlaczego? – wzruszyła ramionami Teresa. Powiedziała to nie po to, ażeby jej wierzono, ani po to, żeby udzielać później wyjaśnień, tylko dlatego, żeby być uprzejmą. A dla kogoś, kto nie rozumie tej prostej sprawy, że politechnika jest dla niej czymś idealnie obojętnym a raczej smutnym, szkoda było tracić czas, mimo że był przyjacielem Niutka. – Idę szukać Reżimka.

– Zatańczymy?

– Chętnie – zgodziła się Magda. Andrzej podobał się jej. Wysoki, szeroki w ramionach, trochę podobny do Belmonda.

– Lubi pan literaturę zachodnią – Kafka, Faulkner...

W porządku. Niutek może wrócić do Basi. Na razie w porządku.

Reżimek szybko wypija koniak.

– *Thanks*, Teresa, ładnie wypadłaś. Długo byłaś w Hiszpanii?

– Miesiąc. Musieliśmy skrócić o tydzień pobyt, bo zostawiłam w kasynie dwieście dolarów.

– Ładnie. Napij się.

– Dziękuję. Miło tu u ciebie, dawno nie byłam.

– Jasne. Przepraszam cię na chwilę. Odchodzi na bok, zapala papierosa. Przyjęcie właściwie jest dla niego zepsute przez tę historię z Bobem. Związali go, zanim w ogóle można było pomyśleć o obronie. Zresztą paskudna sprawa, głupia. Właściwie to Bob rzeczywiście jednak przesadził. Zwłaszcza z tą szczeniara. Ale kto mógł przypuścić, że będzie taka zawzięta! Wsunęła dowód osobisty pod tapczan, potem wróciła z milicją. Żebym ja tam był, może stary by pomógł, chociaż od ostatniego numeru z samochodem coś się psuje. Boba nie ma, Beata nie przyszła akurat dziś musiał wypaść powrót jej starego, chata się kończy, wozu nie ma. Dodek ma silnik robiony w firmie na zamówienie – żeby chociaż Fiata 600, Witoldowi stary jednak kupuje. Niby zdał na prawo, ale takie tam zdanie. A z tym Bobem głupia sprawa. Gwałt, grozi pięć lat.

Kid tańczy z Teresą. Miła, efektowna dziewczyna, tylko że właściwie ma już męża – wiadomo, że niedługo ślub, i to z kim! Tu się niewiele da zrobić, ale podtrzyma się znajomość, to ważne. I przy tym niech się Wanda trochę zaniepokoi. Trzeba uważać, coś jakby ciągnęło ją do tego niby reżysera. Właściwie co on ma z filmem? Tyle, że zna parę osób i, trzeba przyznać, ogólnie jest niezły. Ma dobre dziewczyny, i ta Florida. Właściwie skąd? A Witold ciągle nic nie załatwił.

– Usiądźmy na chwilę. – Pociągnął Teresę, usiedli przy Witoldzie i Sylwii. – I jak?

– O co chodzi? – Witold zdziwił się.

Udaje? – No, wiesz przecież. – Postanowił atakować ostro.

– Nie miałem dotąd dobrej okazji, aby porozmawiać z ojcem, ale sprawę możesz uważać za załatwioną.

Więc udawał.

– Drobiazg, :po prostu chciałem ci przypomnieć – uśmiecha się Kid.

– Możesz być spokojny. Ale słuchajcie – ożywił się nagle – myślę o zorganizowaniu przyjęcia w Jabłonie, w klubie dyplomatycznym. Może być bardzo miło. Po wszystkich przyjeżdżają samochody. Musimy, Wanda, porozmawiać z ojcem.

– Lepiej ty! – Wanda przechodziła właśnie z Dodkiem. – Ojciec uważa, że ostatnio za dużo się bawię, zresztą muszę wyciągnąć się z fizyki.

– Bardzo dobrze tańczysz. – Robert trochę niezręcznie prowadził Betsy. Popatrzył za przechodzącą Sylwią.

– Bardzo ładna jest Sylwia – spojrzała na niego uważnie Betsy.

– Jest za szczupła, za wysoka i ma brzydkie włosy. Nie lubię takich. – Robert nie dał się sprowokować.

– Po co się zakłamujesz? Przecież widziałam, jak na nią – patrzyłeś.

– Właśnie chciałem ci powiedzieć, że jest za wysoka, za szczupła i ma brzydkie włosy. – Robert wie, że Betsy jest zazdrosna o Sylwię, notabene powodów nie ma żadnych. Ale nie przeceniając swych możliwości, Robert stara się inteligentnie podtrzymać to przekonanie. Mówiąc w ten sposób o Sylwii ma korzyść podwójną: nie dopuszcza do ewentualnej sceny zazdrości i zyskuje opinię konesera. – Nie pij tyle – powstrzymuje Betsy; wie, że ona ma kompleksy i szczególnie wrażliwa jest na troskliwość.

Betsy popatrzyła długo na przechodzącego Kida. – Podoba ci się? – zapytał Robert pozornie lekkim tonem.

– Nie, dlaczego?

Ta mała, siostra Witolda, siedzi już prawie Dodkowi na kolanach. Trudno, trzeba ją konsekwentnie... Kid podnosi się. – Chodź, Tereso, lubię to nagranie.

Tańczą na środku pokoju. Teresa musi już wyjść. – Dziś wraca z Paryża Wiktor, ma wpaść do mnie do domu.

– Kiedy ślub?

– Za dwa, trzy tygodnie. A ty i Wanda?

– Za jakąś godzinę. – Nie jest dobrze, ale trzeba być dowcipnym. Odprowadza Teresę do przedpokoju. – Odwieźć cię? – To byłaby duża szansa uderzenia Wandy.

– Mam pod domem wóz, czeka szofer ojca.

Załamać się? Podejść do Wandy? Zagląda do pierwszego pokoju. Zgaszone światło, Niutek i ta nowa. Szybki chłopak, bystry, bez forsy świetnie się obraca.

W kuchni Reżimek wyciąga z otwartego już barku ojca kolejne butelki. Odbija jedną.

Już prawie pijany – obserwuje Kid. – Lepiej, żeby tyle nie pił, może zacząć rozrabiać – chociaż sami swoi. Tylko że on już ma ten szlif Boba, bije w ciemno. Swoją drogą Bob dostanie murowane pięć lat. Nic nie szkodzi, niech posiedzi. Za duży był artysta i za hałaśliwy. I nic nawet ten nie pomoże, wsypa za duża i za chamska.

– Popatrz! – Reżimek rozlewając koniak wtyka mu w rękę „Play Boya”. – Popatrz, Mods. – Reżimek zna Kida dopiero jeden dzień, ale przedtem wiedzieli już dużo o sobie. Zresztą obaj łatwo nawiązują kontakt. Każdy z nich zna wartość drugiego. – Po stu, dwustu latają na skutkach. Niedawno spotkali się na plaży z tymi pokazał zdjęcie – na motorach, w skórzanych kurtkach. Patrz, pięciuset na trzystu. Plaża przestała istnieć, wszyscy pryskali jak poparzeni. Potem policja, dwie godziny. A Bob siedzi załatwiony. – Kowbojskim, podpatrzonym na westernach ruchem szybko odwraca się do drzwi. – Nic, idę tańczyć. Aha – znów szybki obrót – pożycz dwie stowy. Chcę kupić płyty. Sprzedałem zaproszenia do łoża honorowej na te zawody lekkoatletyczne, ale zabrakło. No, napijmy się.

Kidowi powraca przytłumione już koniakiem przeświadczenie, że coś jest źle. Aha, Wanda i ten reżyser. Trzeba sprawdzić. Ten palant może mu wszystko popsuć. Aleby się ojciec uśmieł – krzywi się ze złością. – To całe obstawianie Witolda i Wandy, tyle forsy na nic. Stary Witolda mógłby mu przecież ten wyjazd załatwić od ręki. Lekarzy w Kongo rzeczywiście potrzebują. Za rok kończy medycynę, trzeba by już teraz zacząć załatwiać. Ojciec miał bezsensowne pomysły łapówkowe to zupełnie nie tak trzeba. A Witold coś kręci, już ma rozmawiać, patem nie rozmawia. Wszedł w to, odstąpił mu Sylwię – no, mniejsza o Sylwię, tylko ten palant... Na tym obiedzie przyjęto go bardzo dobrze, trochę chłodno, ale bardzo dobrze. Wanda uspokoiła go, że to chłód zawodowy. Ojciec nigdy nie działa spontanicznie. Ale nic rodzicom nie powiedzieli. Przecież sam nie mógł wyjść z tym przy obiedzie. A może Witold powiedział, a stary się nie zgodził? Nie, chyba jednak nie. Odkryłbym go. Tyle że się wszystko ciągnie, a teraz ten filmowiec...

– Masz, stary, stówkę – podaje Reżimkowi starannie złożony banknot. Nie wolno małego rozpuszczać, ale też nie wolno zrażać.

Witold tańczy z Sylwią.

– W Jabłonie to na pewno byłoby świetnie. Byliśmy tam w zeszłym roku na uroczym weekendzie konno, parę osób dojechało wozami.

– Miłość, cholera. – Kid siada na tapczanie obok Reżimka. Na sąsiednim Dodek obejmuje Wandę. Jednak trzeba będzie coś zrobić.

Andrzej czuje się już o wiele lepiej. Wypił sporo, z Magdą idzie bardzo dobrze. Wie, że się jej podoba. Ona też wypita dużo. Tańczą bardzo blisko. Tylko ta Wanda. Jest śliczna i uśmiech... Dwa razy już chciał podejść, zatańczyć i łamał się, ciągle się łamał już w ostatniej chwili. Żeby ją zdobyć, żeby spróbować w każdym razie... I gdyby mu nawet nie wyszło, miałby czyste sumienie. Może nawet lepiej, żeby nie wyszło. Ale gdyby wyszło!... I jeszcze dorzuciłby Niutkowi, który z miejsca mu zameldował, że szans nie ma żadnych i żeby się nie odrywał od tej Magdy, co w samych Kossakach wiszących w willi ma sześćset tysięcy, i żeby lepiej jej pilnował, bo i tu też nie wiadomo, czy wyjdzie. Ale tu chyba szło :dobrze. Tylko gdyby ona była w trochę innym typie, bardziej z seksem. Żeby ten czarny w okularach podniósł się na chwilę, bo tak rzeczywiście trudno podejść, nie bardzo jest jak. Chociaż ona ze dwa razy jakby popatrzała, ale nie na pewno. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut podejdzie, czy wstanie ten w okularach, czy nie. Uśmiechnął się niepewnie do Magdy. Czuł się w stosunku do niej trochę głupio, no, ale powinna zrozumieć.

Właściwie – myśli Sylwia – to może lepiej wyjść za Paula niż za Witolda. Owszem, Witold jest bardzo miły, rozsądny, spokojny, świetnie ustawiany, na pewno lepszy od Kida, chociaż może nie tak przystojny. Niepodobny do Marlona Brando. Ale gdyby jednak na stałe za granicę, do ojca, to lepszy Paul. Wanda coś jakby zostawiała Kida_

– Nie martw się – uśmiech do wyciągniętego na tapczanie Kida – nie martw się, będzie dobrze. – W tej sytuacji czuła się z nim w jakiś sposób solidarna. To ładnie z mojej strony – pomyślała z zadowoleniem.

W drzwiach Reżimek szybko rozmawia z Niutkiem.

– I jak?

– Nieźle, tylko wypadałoby zmniejszyć skład. – Spokojnie. – Reżimek odkłada pod tapczan dwie butelki. – Spokojnie. – Jeszcze jedną podaje Niutkowi. – Pracuj.

Dodek zdejmuje okulary. Schował już do kieszeni kluczyki od Florydy – zostały zauważone. Trochę protekcyjnie bawi się włosami Wandy.

– Masz ciekawy odcień. Reprezentujesz typ ładnej współczesnej dziewczyny, typ, którego właściwie nie ma w naszym filmie. I tu jest właśnie szansa. Tu możemy uderzyć.

Wandę bardzo to przekonuje. Przystojny, Floryda biała – nie lubi oficjalnego koloru samochodu ojca – i ten film. Zawsze lubiła kino i artystów. Chociaż Kid... trochę szkoda Kida, ale w takich wypadkach trzeba umieć się zdecydować. Wanda prawie już się zdecydowała.

Dodek się waha. Mała wyraźnie się rozkleja, tylko to nie jest moment. W tej sytuacji odpowiedniejszy będzie Reżimek. Z szesnastkami trzeba na razie dać spokój. Jeśli tamci złożą skargę... Boba jednak posadzili – cholera, miał chody przecież, ojciec znany plastik... Gdyby Reżimek brał w tym udział, ciekawe, czyby go ojciec wyciągnął. Bardzo głośny był numer. Ze mną jest zupełnie inaczej. Przy tym sprawa jest rzeczywiście bardzo drobna. Tyle że dziewczyna nieletnia. Więc teoretycznie skargę mogą złożyć... Chociaż jakie to tam uwiedzenie... Ale okoliczności są niby obciążające. Za tydzień rozmowa telefoniczna z jej rodzicami, chcą go ożenić, frajerzy, szantażują procesem. Więc parę dni bardzo ostentacyjnych spotkań z tym małym kowbojem. Można mu załatwić jakieś próbne zdjęcia, powozić Floridą, pożyczyć czasem klucz do mieszkania, w ogóle pokazywać się z nim. Oczywiście nie ma się co łudzić, żeby jego ojciec mnie krył, oczywiście, że nie da się w nic wciągnąć. Ale przecież nie o to chodzi. Tamci znają życie. Nie to jest ważne, żeby jego ojciec krył mnie rzeczywiście, tylko to, żeby myśleli, że mnie kryje. To powinno wystarczyć, żeby nie złożyli skargi. Tylko trzeba działać szybko. Niutek mnie wprowadził, w ogóle idzie nieźle. Reżimek jednak jest dużo pewniejszy niż Wanda i Witold. I jeszcze ten Kid. Po co robić sobie wroga...

Trzy, dwa, jeden... – Andrzej wstał. Magda właśnie odsunęła się na chwilę, rozmawia z Witoldem. Szybko podszedł do tapczanu, uklonił się. – Bardzo mi .na tym zależy – powiedział bez sensu i speszył się jeszcze bardziej. Dodek uśmiechnął się przyzwalająco. Wanda podniosła się. Nawet ładny chłopiec, nieźle ostrzyżony, ale garnitur uszyty fatalnie. Ładne zęby. Trochę podobny do Fondy.

Właśnie beatlesi. To Andrzej ma opanowane dobrze. Tylko przeszkadza mu trochę speszenie. Ale i tak wypadło nieźle. Mignęła mu zaskoczona i zaraz potem zła twarz tej od Kossaków. Siedziała obok Betsy i tego jej czarnego, podniosła kieliszek koniaku i szybko wypila. Teraz zagrali coś wolnego. Przygarnął dziewczynę bliżej. Nie broniła się. Świetnie idzie, ale czas mija, więc trzeba jej powiedzieć. Jeszcze chwilę. Już.

– Czy nie spotkalibyśmy się... kiedyś?

– W jakim celu? – uśmiechnęła się Wanda. Bardzo ładna i inteligentna. I włosy, i ten kostium. O ile lepsza ad Kossaków!

– No, żeby porozmawiać. – O czym?

Nie chce. Wyraźnie nie chce. A może tylko tak mówi. W każdym razie trzeba dalej ciągnąć. Ostatnia szansa.

– No, o wszystkim.

To nie było dobre, zupełnie niedobre. I właśnie płyta się skończyła.

– Nie mam tyle czasu. Przepraszam, muszę wracać.

Oczywiście, musiała tak powiedzieć. Fatalnie wypadłem. No, może niezupełnie fatalnie. W każdym razie zatańczyliśmy. Ale ogólnie źle. Odwrócił się.

Magda wstała już i z ostentacyjną obojętnością wyglądała przez okno.

Oczywiście chce, żeby podszedł. W ogóle wypada podejść. Jest miła.

Betsy podbiega do magnetofonu. Ścisza beatlesów.

– Co jest? – podrywa się trochę nieprzytomnie Reżimek.

– Dzwonili z dołu, prosili, żeby ciszej.

– Jak to ciszej? – Reżimek odkręca gałkę do końca. – Niech dzwonią. Zobaczymy, czy zadzwonią jeszcze raz.

– Zostaw, stary – łagodzi Kid. – Po co rozrabiać.

– Jak to rozrabiać! Ja ich chcę tylko upomnieć, rozumiesz, uświadomić. – Kapnięte krzesło leci na ścianę. – Lubię hałas. Chcesz się założyć, że więcej nie zadzwonią?

Kid nie chce się zakładać, wie, że nie zadzwonią.

Reżimek machnął odkorkowaną butelką, koniak wylał się na ścianę.

– Jak leci? – W drzwiach staje uśmiechnięty Niutek, obejmując rozsmazaną plastyczkę. – Co się dzieje? Jeżeli nic, to proponuję zmienić lokal. Co o tym sądzisz? – mruga do Reżimka.

– Jasne – uspokaja się natychmiast Reżimek. Dodek odciąga go na bok. – Co sądzisz o „Bristolu”?

– Co u ciebie? – Niutek bierze na bok Andrzeja. – Jak idzie z Magdą? Czy jest już gotowa na dziś? Mogę ci pchnąć pewien klucz.

– Nie, nie – szybko wycofał się Andrzej. Dziś na pewno nie. Wolę później. Ta nie jest sprawa na pośpiech.

– Czy ja wiem? Zresztą, jak wolisz. Ale uważaj, żebyś nie przegapił, bo to zwykle albo od razu, albo dużo chodzenia.

– W porządku. Będę uważał. – Andrzej planuje jazdę do „Bristolu”; może by jednak wyszło coś z Wandą, chociaż rozmowa.

– Ja bym chętnie została, jestem zmęczona. Betsy patrzy pytająco na brata.

– Jedziesz – ucina Reżimek. Patrzy na Kida, kopie jeszcze raz krzesło. – Widzisz, że nie dzwonią?

Kid bierze Wandę za rękę: – Ty zostajesz.

Dodek taktownie odsuwa się na bok.

– Kiedy, widzisz, lubię „Bristol”. Zresztą, o co ci chodzi? I nie wygłupiaj się, nie bądź zazdrosny. – W końcu lepiej go trzymać w rezerwie.

Kid postanawia się nie obrażać. Sprawa jest za poważna. W tym wypadku nie warto grać obojętności. W „Bristolu” może się odegrać. Do drugiej jest jeszcze parę godzin. Poza tym umie obserwować. Ten Dodek tak znów za bardzo na nią nie leci. A w ogóle można z nim będzie przecież pogadać. Wygląda na sensownego gościa. Wypić, pogadać...

– Państwo pozwolą z nami. – Podtrzymując opinię dowcipnego Kid kłania się przed całującym Sylwię Witoldem.

– Wiesz – cicho mówi Magda – ja będę musiała już wracać. Odprowadzisz mnie tylko do „Grand Hotelu”, tam za pół godziny czeka wozem mój stary, porozmawiamy, widziałam kapitalne zdjęcia Majakowskiego w „Paris–Matchu”.

– Chętnie. – Andrzej jest załamany, „Bristol” przeleciał. Zdobywa się na uśmiech. – Gubimy się.

Niutek z plastyczką są już na dole, wsiadają do wozu. Lekko zataczając się, podchodzi Reżimek, wsiada.

– Więc komplet. – Niutek zamyka drzwiczki. Pozostali wsiadają do Floridy i Forda ojca Kida, na zagranicznej rejestracji. Dodek rozgląda się za Reżimkiem.

– Wsiadł z Niutkiem – informuje go Wanda – do Fiacika.

Ford i Florida ostro ruszają, skręcają w główną ulicę. Znajdujący się już za zakrętem Andrzej puszcza rękę Magdy, odwraca się i widzi, że jadący z tyłu Fiacik Niutka zawraca i znów zatrzymuje się przed domem Reżimka.

DUŻY ŚWIAT

O dwudziestej trzydziści pan Karol uznał weekend za skończony. Kiwnął głową zajmującym sąsiednie stoliki znajomym i przeciskając się koło grupy stłoczonych przy barku miejscowych; otworzył drzwi. Za nim wysunęli się Maks F., Beata, Sylwia, Kwadratowy. W parę minut później pan Karol sprawnie wymanewrował konwencjonalną Syrenkę spomiędzy kilku efektownych zagranicznych modeli.

O tej porze szosa z Błot nie była specjalnie zatłoczona i wóz wziął z miejsca dużą szybkość. Po paru minutach wyprzedził jakiegoś Volkswagena na zagranicznej rejestracji, w chwilę później po krótkiej rozgrywce został w tyle lśniący lakierem Ford jednej z ambasad. Szofer z niedowierzaniem wpatrywał się w mijający go wóz pana Karola.

Maks F., trochę ściśnięty na tylnym siedzeniu, ze spokojnym uśmiechem obserwował podniekscytowane efektowną jazdą Beatę i Sylwię. Nie podzielał ich emocji wiedząc, jak mało wozów może nawiązać pojedynek z nienagannie pracującym motorem Jaguara wmontowanym pod maskę Syrenki. Do tego pan Karol prowadził rzeczywiście znakomicie, z refleksem. Podobno w czasie wojny był lotnikiem w RAF–ie. Oczywiście, nie należy mu przesadnie wierzyć, ale w końcu nie o to chodzi. Pomysł z tą wzmocnioną Syrenką jest dość zabawny, przy tym oczywiście pan Karol nie chce zbyt ostentacyjnie włączyć w oczy supernowoczesnym modelem. Stać go na to, żeby tego nie robić. I tak jest najlepszy. Ostry zakręt pchnął na Maksa F. obie dziewczyny. Chyba ze sto pięćdziesiąt lećmy – pomyślał. Uśmiechnął się do rozpromienionej Beaty. Właśnie, warto by się zastanowić, czy jest sens sprawę ciągnąć. Wzięli ją dziś z Legii. Pan Karol od dawna miał ją na oku. Pokazywała się tam ostatnio z tym mocno się przepychającym nastolatkiem. Miał jakieś historie z otworzonymi wozami, ale się wyciągnął. Potem parę dziewczyn skarżyło się na niego, że nerwowo. Więc pan Karol pchnął po nią Sylwię właśnie wtedy, kiedy tamten się kąpał – że na przejażdżkę pan Karol zaprasza. Oczywiście, zgodziła się i urwała się natychmiast. Zgrabna jest i inteligentna, ale bardzo uważna. Nie chciała zostać na noc, że rodzice... Ma jechać z rodzicami do Francji, nie chce nic ryzykować. Ładna jest, tylko zuniformizowana, za dużo zamszu. Maks F. zawsze cenił pewne akcenty indywidualne.

Jechali teraz wolniej. Przed samym wjazdem do miasta tłok na szosie zrobił się większy. Maks wyjął papierosy, zaciągnął się. Sylwia zapaliła, mała nie chce.

Pan Karol chyba już się z niej wycofał, w każdym razie żalu mieć – nie powinien. Przyciągnął Beatę:

– Przypominasz mi pewną dziewczynę. Skrzywił się widząc ironiczny uśmiech Sylwii. To chyba w czterdziestym drugim roku. Zima, siedzę w wieżycze czołgu...

Sylwia odwróciła się ukrywając uśmiech. Oczywiście, Maks F. ustawia. Literat! Wydał kilka książek wojennych. Pokazywał ostatnio na Legii swoje zdjęcie, w poważnym kulturalnym tygodniku była recenzja na pierwszej stronie. Ale i tak trzyma się i pozycję ma tylko dzięki panu Karolowi. Ten ma do niego słabość, bo artysta. No pewnie, że sam nie jest zły, umie rozmawiać, ale głównie pan Karol organizuje te wszystkie dziewczyny. A właściwie ci różni jego chłopcy obserwujący po szkołach. Jakiś film Maksowi mają kręcić według jego książki, coś opowiadał: wojna, ktoś przyjeżdża do małego miasteczka, potem wyjeżdża i jeszcze wraca. No, ale on i tak się za bardzo nie liczy. Miły jest, owszem, dość śmieszny i mimo tej czterdziestki nawet przystojny. Szczupły, wysoki, z twarzą ostrą, trochę jak u charta. Świetnie ubrany, sprzęzysty krok...

Pan Karol ostro przyhamował, przepuścił wjeżdżający z pętli autobus, obwieszony, jak zawsze w lecie o tej parze, wracającymi z plaży.

Tylko po co ten numer z Syrenką? To jednak bardzo niewygodne. W Peugeocie Paula milej. Paul upiera się, żeby ją zabrać. Za parę tygodni kończy mu się praca na placówce. Zanim nastąpi wyjazd do ojca do Argentyny, na stałe, można by po ślubie trochę się pokręcić po Europie. Tylko Witold; nad Paulem i Witoldem trzeba się dobrze zastanowić.

– Mógłbyś trochę podciągnąć? – trąciła siedzącego przed nią Kwadratowego, który obojętnie wyglądał przez okno. – Strasznie wieje. – Poprawiła włosy, podciągnęła wyżej nagi. Głupi dowcip z tą Syrenką!

– Oczywiście – Kwadratowy podniósł szybę chętnie. – Był zmęczony i mocno znudzony. Pewnie znów „Bristol” i nic. Nic się nie dzieje ostatnio. Te sztuki mogliby ostrzej załatwić. Gdyby nie to, że lubi prowadzić wozy, że koniak, dziewczyny czasem – i ta pensja, toby się wypisał. Może gdy wyjadą z Warszawy, coś będzie. Co tamten znów opowiada? Wjechał z czołgiem do wody, no i co, pewnie się zamoczył?

Beata niezbyt uważnie słuchała. Owszem, ładnie opowiada, sporo wrażeń. Z panem Karolem jechała wozem i z tym, i była dobra. Jak na razie, bardzo dobra. Reżimek wścieknie się na pewno, zwłaszcza że wczoraj nie była – przez powrót ojca – na imieninach, ale spokojnie! Gdzie mu jednak... Pan Karol to król. Absolutnie najlepszy. I jadą teraz razem. Przypomniała sobie, co mówiła Baśka–modelka: Ścięty nosek mokasy na pana Karola naciska gaz do dechy, przyjeżdżają, willa wytapetowana pięćsetkami. Najlepszy jest. Szkoda, że taki gruby. W ubraniu zresztą lepiej wygląda – świetny jest ten jego letni garnitur. Podobno był komandosem. Spokojny, nic nie mówi, absolutnie zamerykanizowany. I ta forsa. Nikt tak na pewno nie wie skąd. Podobno kilka willi, zmienia samochody...

– I wtedy właśnie z płonącej wsi wybiega mi na spotkanie pewna dziewczyna...

Pan Karol ostro skręca. Są już w mieście.

– „Bristol”? – odwraca się na moment pan Karol. W parę minut potem Syrenka zatrzymuje się przed hotelem.

Reżimek trochę za mocno zatrzasnął drzwi, zbiegł ze schodów. Fatalny dzień, cały do tyłu. Ta historia z ojcem, znów coś mu donieśli i stary rzeczywiście poszedł na całego. „Koniec z tym wszystkim, w tym roku, chcesz czy nie chcesz, zdajesz maturę i dostajesz się na studia. Prawo albo ekonomia.” To już mówił bardzo nerwowo. No rzeczywiście, fatalnie rozegrane: w tym momencie trzeba było udać trupa, przeczekać. Ale postawił się, powiedział mu o załatwionej już przez Dodka pracy asystenta reżysera w nowym superfilmie, i w ogóle nie żadne prawo ani ekonomia, tylko telewizja. To oczywiście był błąd. Wtedy stary na dobre się zatracił i poszedł bykiem do przodu: że dość, koniec, że za dobry był, za liberalny – w zasadzie ta co zawsze, tylko ostrzej o wiele i tak poważnie, że to może naprawdę niedobrze się skończyć.

Postawił kołnierz zamszowej marynarki, wieczór był dość chłodny. Sprawdził, czy w kieszeni ma krawat na wszelki wypadek, koszulkę polo można w ten sposób przestawić na każdy lokal. Pod krawatem wyczuł dziesiątkę przygotowaną dla pana Romana, bramkarza ze studenckiego klubu.

I druga historia, jeszcze lepsza, to ta Legia z Beatą. Wyprysnęła z panem Karolem i tym pisarzem wojennym. Nawet nie widział, kiedy się zerwała. Ładnie to zrobiła, trzeba przyznać, szybko. Sylwia pewno ją odebrała, jej można by wyładować przy okazji, żeby uważała jednak więcej. Myśli, że jak Witold i Paul, to już nie może lufy dostać. Właściwie miał się dziś z Dodkiem gdzieś wybrać, jakiś salon specjalny czy coś takiego, ale nie, jednak dziś nie, zresztą, spojrzął na zegarek, później może jeszcze doskoczy. Ostatecznie Dodek poczeka.

No, w każdym razie niedobrze jest. Jak mu chłopcy meldowali o tym wyjęciu Beaty, coś jakby się uśmiechali. Oczywiście, nic nie dał po sobie poznać, oczywiście, na to jest za dobry. Swoją drogą, ciekawe, kto ojcu doniósł o tej ostatniej historii.

Z daleka już zobaczył tłumik kotłujący się pod drzwiami „Hybryd”. Sobota, więc już komplet, zamknięte.

Jest niby duża szansa, że z Beatą im dzisiaj nie wyjdzie. Ona jednak jest bardzo bystra. Sam chodzi z nią już prawie miesiąc i nic. Ale strzeliła go w każdym razie mocno. Żeby nie to, że nic nie dał po sobie poznać, toby go strzeliła jeszcze mocniej.

No, żeby to nie był pan Karol, można by go trochę popchnąć. Ale nie, z nim nie ma żadnego lotu. Pan Karol rzeczywiście jest najlepszy. I przez tę forszę, i przez to, że wie, jak ją wydać, i że nie mówi dużo – właśnie przez to załatwia te wszystkie szesnastki, siedemnastki, często jeszcze ze szkół, chociaż wygląda jak chrabąszcz. Ma już chyba pięćdziesiątkę. W czasie wojny był w Anglii podobno człowiekiem–żabą. Stąd ten jego spokój. Maks F. chyba nie powinien być groźny dla Beaty, to nie jest firma. Tyle że pisze podobno ciekawie, dobry ma profil i chodzi jak sprężyna. Zaimponowali szczeniarki przez wszystkie te opowiadania o nich, które sam zresztą powtarzał jak głupi. Ale to były dobre opowiadania, trzeba przyznać bardzo dobre.

Zlustrował zaparkowane przed klubem skutery, kilka wozów, Volkswagen wspólnika Bohdana od koszulek polo – w tym roku podobno jedzie do Paryża, chce przywieźć coś nowego. Załatwił sobie jakąś robotę u rodziny w stolarni, mówi, że za rok wróci.

Właśnie, to by była jedyna dobra strona tego postawienia się ojca. Zawsze obiecywał, że po maturze wejdzie wozem. Ojcu można ufać.

Przed samymi drzwiami Taunus Czarownika. Pewnie znów się będzie czepiał.

Z wprawą przecisnął się przez stłoczoną, nieprzyjazną grupę. Byle do drzwi. Wszyscy już w środku, naokoło żadnej znajomej twarzy. Jeszcze tego na bok. Zastukał w umówiony sposób. Odepchnięty, w białej koszuli, w krawacie, gwałtownie protestuje:

– Proszę się nie pchać. Stałem pierwszy i miałem największe szanse.

– Masz wiele racji. – Znów zapukał. Za szybko ukazała się głowa Edka, pomocnika pana Romana. Mrugnął porozumiewawczo i uchylił drzwi.

– Proszę uprzejmie wejść, pan ma bilet. Natomiast pozostałych państwa zapraszamy za tydzień.

Za chwałę Reżimek ścisnął z szacunkiem dłoń nobliwie wyglądającego pana Romana.

– Go słysząc? Coś nowego? – Sami swoi. Pół „Bristolu”.

Reżimek precyzyjnie przekazał mu dychę i przeniknął do środka. Orkiestra grała bluesa z repertuaru Ellingtona. Wyminął stłoczone na parkiecie pary, przecisnął się do barku.

– Hej – trąciła go Baśka–modelka – szuka cię Czarownik, ma jakiś business.

– Widziałem Taunusa – kiwnął głową. Głupia historia z tym Czarownikiem.

Obiecał mu, że jak ktoś tylko będzie sprzedawał dobry wózek z przydziału, da cynk. Zablefował nawet wtedy, że jego stary sprzedaje Mercedesa, obiecał z nim pogadać. Pili potem – barok w „Bristolu”, „kamieniołomy” w „Europejskim”. Będzie cisnął.

– Aha – wyjął z kieszeni zaproszenie – chcesz skoczyć na tych Francuzów do „Kongresowej”? Reżimek wyjął ojcu zaproszenie na jutro, potem dopiero zobaczył, że to drugi rząd. Wiedział, że Witold będzie w pierwszym, więc odpada. Baśkę–modelkę lubił, ładnie się dziś zachowała na Legii przy tej historii z Beatą, ładnie chłopców zastopowała.

– Dziękuję, JERZY mi załatwi.

Rzeczywiście, ona świetnie trafiła. Przeszła przez cały cyrk pana Karola, potem bardzo spała, potem znów poszła do przodu. Bystra jest, dowcipna i zgrabna. Tę jej rozmowę z ojcem znają wszyscy: „Czy ty aby, córeczko, za wcześnie nie wchodzisz w życie?” „Ależ, tatusiu, ja już zaczynam wychodzić z obiegu.” Ojciec zamknął ją wtedy w domu; spuściła się z pierwszego piętra po jego związanych w linę krawatach. Miała piętnaście lat. Teraz ma osiemnaście i jest znów jedną z najlepszych. Mówią, że ma wyjść za JERZEGO. To byłoby wielkie ustawienie.

– Napijesz się? – podsunęła mu kieliszek. – Jasne – ucieszył się. Szybko wypił chłodny, cierpki Riesling. Dobrze byłoby dziś coś wypić, tylko że strasznie jest pusty. Chyba żeby jednak jeszcze pociągnąć Czarownika.

– Co z JERZYM? – zrewanżował się za wino. Baśka lubiła, kiedy ją pytano o JERZEGO.

– JERZY kręci. Jutro wraca. Przywiózł mnie tu Czarownik. Dobry dziś jest, coś mu wyszło. Pomyśl o tym.

– Spróbuję coś zrobić.

Orkiestra urwała. Ze stłoczonej na parkiecie grupy wysunął się Czarownik – wysoki, szeroki w ramionach (dużo ćwiczy), krótko ostrzyżone włosy, masywne okulary w prostokątnej oprawie, mocny wyraz twarzy. Za nim szczupła brunetka, nawa, nawet zupełnie dobra. Reżimek machnął im ręką.

– Cześć. Rozmawiałeś z tym Mercedesem? mocno wymawiając sława powiedział Czarownika

– Oczywiście – uśmiechnął się Reżimek – oczywiście. – Przesunął się, ostentacyjnie robiąc miejsce przy barku. – Właśnie cię szukałem. Czarownik zdjął szybko okulary, twarz straciła mocny wyraz.

– I jak?

– To ma bardzo duże szanse. Miła dziewczyna. – To poznajcie się.

Czarownik był już zupełnie opanowany. Udawał, że poprawia coś przy okularach.

Zły jest, że widziałem jego zainteresowanie pomyślał Reżimek. – Widać, że bardzo dużo z tego by miał. Swoją drogą, to głupia sprawa. Z nikim nie rozmawiałem.

– Pierwszy rok romanistyki – prezentował dalej Czarownik.

– Cześć – podał jej rękę Reżimek.

– Słyszałam o panu – uśmiechnęła się z podziwem ta nowa.

Bardzo przyjemna! Nawet trochę podobna do Beaty. Czarownik chyba o tamtym wyjęciu nic nie słyszał, coś by powiedział. Bardzo przyjemna.

Więc – Czarownik oparł się o barek – więc rozmawiałeś. Napijecie się?

Pan Karol wyraźnie nie był dziś w humorze. Kłopoty z surowcami do fabryczki farb i coś się zatrzymało w sprawie jego wyjazdu na Zachód. Znalazł dojsście i dowiedział się, że to nic poważnego. Jakieś skargi i donosy. To dojsście za małe było jednak, żeby coś załatwić, i to się może ciągnąć. Oczywiście, załatwia się nowe dojsście, większe, ale na razie ;nie jest dobrze.

Przychylona do niego Beata coś mu szybko mówiła. Uśmiechnął się do niej, ciągle nie słuchając. Lubi duża mówić. Oczywiście, nic z nią nie wyjdzie. Trudno. Można by jeszcze poprobować, można by spróbować po chamsku, ale tego pan Karol bardzo nie lubił. Zresztą, właściwie nigdy nie musiał. Był bardzo dobry i wiedział o tym. Długo na tę pozycję pracował, więcej już właściwie nic zrobić nie mógł, pozostawało ją wygrywać. Coś słyszał o tym jej chłopaku, otwierał wozy, zdaje się. Złapali i puścili. Chłopak jest lubiany. No, ale żalu mleć nie powinien. Zdaje się, że Maks jeszcze z nią ;próbuje.

Uśmiechnął się widząc, że Maks F. charakterystycznym, nerwowym ruchem zapalił papierosa. Szykuje się.

– Napijecie się?

Zamówił następną porcję Martela.

– Zaraz. Zatańczymy? – Maks wziął za rękę Beatę. Poszli w stronę parkietu. Pan Karol popatrzył za nimi. Lubił Maksa. Bardzo inteligentny, mądrze pisze o wojnie, modny jest, tylko jednak nie za bardzo bystry. Coś mu podobno mają teraz kręcić, jakieś opowiadanie, ale... W każdym razie pić z nim lubi. Jego obecność w jakiś sposób pogłębiała ich siedzenie przy barku. No i w ogóle artysta, modny artysta. Świetnie się przydawał.

Nie odkłoniwszy się Władkowi–waluciarzowi siedzącemu w końcu barku, czekającemu jak zawsze na cudzoziemców, i Bogdanowi od koszulek polo, który zabrał Sylwię do tańca, wolno podniósł kieliszek. Żeby coś wyszło z tym dojściem!

Maks F. przesunął się na parkiecie bliżej orkiestry. Znajomych nie było dziś dużo. Odkłonił się tańczącemu z Sylwią dwudziestolatkowi – od koszulek polo, zdaje się. Na prawo za głośne śmiechy, czarne garnitury, spocone twarze, charakterystyczny przytup, lokal się absolutnie pauperyzuje. Przyciągnął małą do siebie.

– Z pewnością dziwisz się, dlaczego ja ciągle poruszam się w towarzystwie Karola, to może szokować. Ale on jest na pewno w jakiś sposób fascynujący. Ja lubię obserwować, patrzeć – to przecież mój zawód. On jest na szczycie i jednocześnie jest sam, jest chyba w pewien sposób tragiczny, wyalienowany. To nas łączy. No i wojna. Obaj ją przeżyliśmy i w obu nas pozostała.

Skontrolował uśmiechniętą z uznaniem twarz Beaty, ukrył swój ostry profil w jej włosach. Orkiestra przeszła w bluesa.

– Ciągnie mnie do ciebie, bo ty nie wiesz nic, nie byłeś w obozie, w powstaniu, w desancie. Nie wiesz nic – ściszył głos do wypróbowanego półszepetu – i to mnie właśnie podnieca. – Przytulił ją mocniej. Postanowił wzmocnić argumentację. Mają kręcić mój film; widzę cię w nim.

On nieźle rozmawia, trzeba przyznać, nieźle. Oczywiście z tym filmem to stary bluff, nie z nią. Kątem oka zlustrowała salę. Jest ten od koszulek polo i paru gorszych znajomych, kłaniali się, już przy barku chcieli podejść, ale ich pan Karol ostro splawił. W każdym razie parę osób widzi ją w tych układach. Plus ci w Błotach. Razem nieźle, zupełnie nieźle. Maksowi wypadałoby coś powiedzieć, żeby wypaść przyzwoicie, trzeba koniecznie jakoś niebanalnie.

Orkiestra urwała.

– Chodźmy już, chętnie bym się czegoś napiła. Dobrze się złożyło z tą orkiestrą. Chociaż to, co chciała powiedzieć o Haloubku, też by chyba nieźle wypadło.

Z końca barku skłonił jej się Władek–waluciarz. – Czy ten twój Francuz nie zostawiłby wózka wyjeżdżając? – Bohdan zatrzymał po tańcu Sylwię. – Ojciec chciałby zmienić wóz.

– Nieźle wam leci. Ciągle polo?

– Tak, i jeszcze agrafki. Stary wziął rzemieślnika, maszyna sztuka agrafki i jest parę złotych.

– Spytałem się bardzo chętnie. Wracamy?

– Moment. Jesteś z Karolem?

– Tak, Paul wyjechał, Witold czyta, on dużo czyta.

– Jasne. Słuchaj, chciałbym skrzyżować dwa zdania z Kwadratowym. Mogłabyś to załatwić?

– Nie znasz go?

– Znam, to znaczy trochę, ale chcę się przypomnieć. Co on lubi pić?

– Wszystko jedno. Miałaś coś z nim?

– Ja osobiście nie, tylko dwaj moi znajomi o coś się tam z nim starli, przez to musieliśmy przerwać Sopot, jak on przyjechał. On bardzo ich nie lubi. Widział nas razem, rozumiesz?

– Oczywiście, chodź.

– Mój przyjaciel Bohdan, poznajcie się. – Przy siedli się do rozpartego na kanapce Kwadratowego; – Właściwie znamy się już – uśmiechnął się Bohdan.

– Nie przypominam sobie za dobrze – odpowiedział Kwadratowy.

Z chamstwa, cholera, czy z taktyki taki ostry? zaniepokoił się Bohdan wołając kelnera.

Przed „Bristolem” Czarownik odkrył Syrenkę pana Karola.

– Jest tutaj, tylko uważaj, jest na pewna z Kwadratowym. Lepiej spokojnie, bardzo spokojnie i sprytnie. Wtedy może być śmiesznie.

– Nie szalej! – Baśka–modelka wzięła pod rękę Reżimka, trochę już przygluszonego wypitym winem. – On jest naprawdę dobry, nie szalej lepiej. – Lubiła w Reżimku właśnie te trochę chamskie, nieopanowane wyskoki. Oczywiście, miał to ułatwienie z ojcem. Ale to wszystko jednak nie z panem Karolem.

– Maks F. jest z nim na pewno – ucieszyła się młoda gwiazdka podebrana z klubu aktora. Tamta od Czarownika, z „Hybryd”, musiała wracać do domu – rodzice. Więc Baśka–modelka zorganizowała młodą gwiazdkę na zastępstwo, żeby się Czarownik nie zniechęcał.

– Na pewno będzie z nim, a ja go szukam, coś mu mają kręcić. – Młoda gwiazdka też już dziś sporo wypła, ale nic po niej nie było widać. Miała chłodną, trochę skandynawską twarz.

Wyjmie mi ją – zaniepokoił się Czarownik. Naprawdę może mi ją wyjąć. Szybko załatwił formalności związane z wejściem w sobotę o tej. porze. Zresztą, ważniejsze na razie jest przypilnowanie Reżimka, dociągnięcie sprawy. Gdyby wyszła ta historia z Mercedesem, kupiec już jest ustawiony.

– Ty – zatrzymał go kierownik sali. – Ten Maks F. to właściwie co?

– Píše o wojnie, o okupacji.

– O okupacji – zastanowił się tamten. Wiesz, mnie też kiedyś Niemcy postawili pod ścianę, oczywiście, zesrałem się, ale żeby zaraz to opisywać!

Przeszli w stronę barku.

– Cześć, Maks – serdecznie pomachała młoda gwiazdka.

– Halo – ucieszył się Maks F. Uściskał Baśkę–modelkę. – Co z JERZYM?

– JERZY kręci.

– Podobno kręcą ci jakiś film. Nie widzisz mnie w nim? Lubię twoje pisarstwo, czuję je zaatakowała młoda gwiazdka.

– Owszem – zastanowił się Maks. – Jest tam pewna dziewczyna...

Reżimek z Czarownikiem usiedli przy barku. Beata niespokojnie ostrzegła pana Karola:

On jest taki nerwowy. Może coś zrobić. I jego ojciec... – ściszyła głos. Swoją drogą – pomyślała – ładnie się wkłada, tylko trzeba teraz bardzo uważnie.

Pan Karol wolno obejrzał się na Kwadratowego. Ten siedział na kanapce z Sylwią i tym od polo. Sylwia coś mu szybko tłumaczyła, chyba to właśnie. Tak, na pewno, bo mrugnęła porozumiewawczo.

Kwadratowy kiwnął głową i bardzo wolnym ruchem odsunął stojące na drodze krzesło.

Bardzo się jednak Kwadratowy wyrobił. Jak go z kadry zapaśników wyrzucali, był po prostu głupim chamelem.

Spokojnie odwrócił się. No, ten szczeniak chyba na pewno nie skoczy, jest zupełnie bez szans. Maks F. oczywiście usunął się. On startuje tylko w czołgu...

– Jeden Martel!

– Podwójny Martel – głośno, po chamsku rzucił Reżimek. – Podwójny!

Pijany – stwierdził pan Karol. – Pijany na pewno. To widać i po głosie, i z tego, że się stawia. Nie wypadło mu się obejrzeć; nawet nie bardzo tego chłopaka odróżniał. Taki typowy nowoczesny. Gdyby wcześniej go zidentyfikował, nie podbierałby mu Beaty. Zresztą nie ma szans, nie ma na pewno pieniędzy. Wszedł z Czarownikiem; tamten może go trochę kryć, ale dużo forsy pewno nie pchnie, nie bardzo lubi wydawać. Swoją drogą mały jest odważny, tyle że kryty. Ostatnio było bardzo spokojnie, już od dawna bali się go i szanowali. Ale, cholera, donosy jednak przyszły.

– Whisky! – celowo ściszył głos, demonstrując spokój.

I od razu przebił go: – Podwójna whisky! Reżimek.

Chłopak jednym haustem wypił, odstawił kieliszek, oparł się na barku. Mocno już kręciło mu się w głowie.

– Spokojnie – Czarownik trącił go lekko i zostaw już, dosyć. Dobry jesteś, ale go nie przeskoczysz.

Nie miał nic przeciwko wypchnięciu jeszcze paru złotych, będzie mógł ostrzej przycisnąć Reżimka, stawia mu przy świadkach. To dobrze, że zaczepił Karola, Karol był już za dobry, nikogo nie widział. Kiedyś kopnął go przy jednym businessie. A Reżimek jest bardzo, bardzo do-

bry. Ostro się przepycha. Rok temu nikt go nie znał, dziś przegra, ale warto go obstawiać, na pewno warto.

Sylwia i Bohdan podnieśli się, przysunęli bliżej, Władek–waluciarz przerwał konwersację z chudym Amerykaninem. To było bardzo ciekawe.

– Martini! – Podwójne!

Maks F. postanowił nie włączać się. Zresztą miał inne problemy. Beatę już skreślił, więc może wyjąć tę „Skandynawkę”? Baśka–modelka jest zdezaktualizowana ze względu na JERZEGO. On mógłby się dowiedzieć i mieć żal. A JERZY ma wiele do powiedzenia i może wiele popsuć. Z młodą gwiazdką sprawa jest czystsza.

Sądzę, że mogłabyś. Tylko czy ci to pasuje. Wyobraź sobie nastrój: wojna, płonąca wieś, czołgi, wybiegasz z chaty...

Beata podniosła się.

– Muszę, niestety, wracać. Nie odprowadzaj mnie. Było bardzo przyjemnie, ale rodzice...

Nie chciała już pić, wiedziała, że musi być bardzo czujna. Wyszła ze sprawy ładnie, ale nie ma sensu czekać. Nie ma po co palić Reżimka. Potrafi się z nim dogadać. W sumie jest bardzo do przodu, tu nie warto się już dziś obracać. Szybka przeszła do szatni.

Pryska – uświadomił sobie Reżimek. – Pryska. Może by skoczyć teraz i wylądować jej? Podniósł się niepewnie.

– Dokąd? – złapał go za rękę Czarownik. Kwadratowy.

Oczywiście, nie teraz. Osunął się na stół. Wszyscy by pomyśleli, że się łamie. Nie przełknę chyba nic – pomyślał podnosząc kieliszek. Nie, nie złamie się. Mocno trzęsącą się ręką, wylewając koniak, przechylił kieliszek do ust.

Pan Karol zaryzykował szybkie, krótkie spojrzenie w bok. Więc jednak kończy się. Zapomniał o tym, że chłopak poza wszystkim nie umie pić. Sam czuł się świetnie, mimo że wypili już dużo. Teraz można by chłopca skończyć, tylko czy warto? Wprawdzie mały zachowuje się bardzo niegrzecznie, ale gdyby ciągnąć dalej, mógłby się załamać, pójść naprzód – to oczywiście załatwiłby Kwadratowy – albo opowiedzieć coś ojcu. Czarownik go obstawia, on zna trochę nieprzyjemnych historii. W ogóle to nie jest chwila. W końcu stać go na to, aby wyjść. Podniósł się, wyciągnął portfel. Ze złością skontaktował zdumienie na twarzy Kwadratowego. Wręczył barmanowi kilka brunatnych banknotów, kiwnął ręką Maksowi F., podniósł wzrokiem Kwadratowego, skierowali się do wyjścia.

– Ty – trzepnął Reżimka w ramię Czarownik – dorzuciliśmy mu, rozumiesz? Dorzuciliśmy. – Gratuluję – przysunął się Bohdan od koszułek polo. – To było bardzo ładne.

– Walka pokoleń – Maks F. uśmiechnął się do gwiazdki. – Najwięcej do wygrania miałabyś jednak w finale. Noc, płonące miasto...

– Dobry byłeś – Baśka–modelka pocałowała Reżimka. – I widzisz, można spokojnie.

– Tą forszą nie martw się, oczywiście wchodzę ci – klepnął go Czarownik. – Tylko teraz musisz to ze starym szybko załatwić.

— Bo co? – Reżimek zrzucił rękę Czarownika. – Bo co? – podniósł się chwiejnie.

– Zostaw! – Baśka–modelka złapała go za rękę. – Zostaw!

– Przecież on żartuje – uśmiechnął się trochę niepewnie wolno wycofujący się Czarownik. Z tym chłopakiem mogą być jeszcze duże kłopoty. – Oprzytomniej.

Maks F. szybko ruszył ku wyjściu. Dłuższe pozostawanie w tej atmosferze było niepożądane. Zresztą młoda gwiazdka miała ochotę na spacer. Przed hotelem dogonili pana Karola i Kwadratowego.

– Dokąd was podrzucić?

– W stronę domu – uśmiechnął się niepewnie Maks F. No, nie był dziś zbyt lojalny, ale w końcu od tego jest Kwadratowy – uspokoił się siadając z gwiazdką z tyłu.

Pan Karol ostrożnie wymanewrował Syrenkę. – Jutro porozmawiasz z tym małym – powiedział cicho do Kwadratowego.

– Dobra – uśmiechnął się z ulgą Kwadratowy. – Modna go pogonić.

– Nie, nie tak, spokojnie. Umówisz nas w „Bristolu”.

Jednak głupi cham! – pan Karol skrzywił się ze złością na ogłupiałą minę Kwadratowego. Tyle że nic nie wie o tym moim zahaczaniu – usprawiedliwił go zaraz.

WIRÓWKA NONSENSU

Byłem już prawie zupełnie spokojny, nie czułem ani wielkiego napięcia, ani żalu nad sobą i bezradnej złości, ani późniejszego odprężenia i ulgi, które miałem przez moment zaraz po wyjściu od Ewy. Zresztą to uczucie trwało najkrócej, może przez kilkadziesiąt metrów, kiedy rozluźniłem ręce i szedłem prawie pustą jeszcze ulicą, wciągając i wolno wypuszczając powietrze. Ciesząc się prawie, że na razie już wszystko zakończone – to, że na razie, pomyślałem dopiero później, kiedy nie czułem już wcale ulgi, tylko szedłem licząc kroki, stawiając między latarniami raz mniejsze, raz większe, ale wtedy to już nie było odprężenie.

– Więc w ogóle wymyśliliśmy z docentem Rożkiem tę naukę, taki gatunek teorii informacji, wymyśliliśmy w kawiarni, bo już wtedy skończyły mi się wyjazdy na spotkania i udowadnianie, że Boga nie ma, co, jak wiadomo, jest kompletnym nonsensem. Chcesz czkawkowca?

Jan B. wyciągnął z kieszeni wytartego lodenowego płaszcza paczkę sportów. Zatrzymaliśmy się, kiedy zaczął szukać zapalek. Spotkałem go godzinę temu na reprezentacyjnej ulicy blisko centrum, w miejscu gdzie łączyło się z nią kilka innych i gdzie można było spotkać a tej samej porze tych samych ludzi, pozaczepianych o urzędy, których tu było sporo, o kawiarnie i sklepy. Szliśmy razem dość długo i Jan B. mówił trochę sepleniąc, nie ogolony, w przybrudzonej białej koszuli. Do mnie nie docierało najpierw prawie nic, bo spotkałem go już wtedy, kiedy dawno minęło uczucie ulgi i próbowałem przeanalizować wczorajszy wieczór. Zresztą Jan B. nie zwracał na to uwagi, zupełnie wystarczała mu moja ułożona w wyraz zainteresowania twarz, z przyjemnością, szybko wyrzucał zdania.

Ja analizowałem wczorajszy wieczór zaczynając właściwie nie od imienia koleżanki Ewy, młodej lekarki, na których byliśmy bardzo ostrożna, bo traktowaliśmy je chyba oboje trochę jak próbę, i które ciągnęły się bardzo długo. Starannie dobierałem przez parę godzin słowa, uśmiechy. Zatańczyłem z Ewą, tylko raz, co zresztą nie sprawiło mi, przykrości, bo w ogóle nie lubię tańczyć, opowiedziałem parę dowcipów, z których dwa się podobały, i utrzymywaliśmy się nieźle w tonie ogólnej wesołości. Zaczynałem od momentu, kiedy już później, po wyjściu, szliśmy, najpierw w milczeniu, a potem rozmawiając obojętnie. Ewa mówiła o zmęczeniu, że było nudno, i dość śmiesznie pokazywała głupie miny jednego z gości. Ja chętnie się zgadzałem, ale czułem w sobie napięcie i byłem pewien, że musi zaraz dojść do innej rozmowy, takiej, jaką mieliśmy dwa dni temu i jeszcze przedtem wiele razy.

– Co sądzisz o wypiciu kawy w „Snobie”? Jan B, zwolnił przy małej kawiarni mieszczącej się w gmachu ekskluzywnego wydawnictwa. Pośledzilibyśmy nieco wirówkę nonsensu, czyli taniec małp w społecznej próżni, w klatce, która nie wydaje żadnego rezonansu.

Właściwie było mi wszystko jedno, ale po namyśle postanowiłem jednak nie wchodzić. Bardziej odpoczywałem i odprężałem się idąc. Jan B. zgodził się ze mną, ponieważ odkąd przestał pisywać głębokie szkice krytyczne o filozofach niemieckich i zajął się układaniem kronik współczesnych, których na razie drukować nie zamierzał, jego sytuacja materialna znacznie się pogorszyła. Zwłaszcza że ostatnim ze szkiców zraził do siebie znaczną część środowiska. Postanowił więc nie rozstawać się ze mną przed wspólnym wypiciem kawy lub znalezieniem innego inwestora.

– Więc dalej, wracając do tej nauki, wygłaszałem wykłady. Wazono mnie do różnych laickich ośrodków, między innymi do kół ZMS. Stawiałem im różne bezsensowne pytania, na przy-

kład: W okolicy rozeszła się wieść o ukazaniu się ducha. Co powinien zrobić aktywista ZMS? Patrz na mnie uważnie, wszyscy krótko ostrzyżeni, w .dżinsach...

Potem zaczęło się szybko, najpierw ona mówiła bardzo dużo, zupełnie niepotrzebnie, i właściwie kiedy odeszła ode mnie na ulicy, zaczęła nagle biec, a potem znowu szła kilkadziesiąt metrów przede mną, trzeba było może odwrócić się i odejść. Ale szedłem za nią w odległości kilkudziesięciu kroków, upewniając się, że robię to tylko z lojalności, z troski o nią, żeby sobie czegoś nie zrobiła, żeby ktoś jej na przykład nie napadł. Mówiłem sobie, że robię to tylko dlatego, zaciskając pięści i myśląc, że chyba chciałbym jej więcej nie zobaczyć, nie kończyć tej niepotrzebnej rozmowy. Ale szedłem dalej, chociaż właściwie byłem pewien, że pójdzie prosto do domu i że nikt jej nie zaczepi, bo była prawie piąta rano i na przystankach zaczynali już zbierać się ludzie. Potem zatrzymała się, zaczęła na mnie i poszliśmy do niej do domu, na razie spokojnie.

– I wtedy oni nagle zaczynają poważnie mi odpowiadać. Jeden podnosi rękę, oczywiście krótko ostrzyżony i w dżinsach, i mówi, że owszem, sprawa jest ważna i na przykład raz na torach, tam gdzie przejechało dróżnika, zaczęło straszyć. A na to podnosi rękę drugi i mówi, że to nonsens, cała rzeczka jest naukowa i że to sprawa telepatii. Że była taka historia, że matka położyła ośmiomiesięczne dziecko na torze, bo było nieślubne, a w pociągu, który nadjeżdżał, siedziało drugie :dziecko ośmiomiesięczne i że w ostatniej chwili to na szynach nadało do tego w przedziale ultrakrótkie fale, to w przedziale pociągnęło za hamulec i pociąg stanął...

Zaczęliśmy znowu mówić już w domu, najpierw cicho, potem głośniejsze, choć wiedzieliśmy, że matka uważnie, z satysfakcją słucha z drugiego pokoju. Nie umiałem przerwać tej rozmowy, chociaż nie mogła właściwie nic zmienić ani naprawić. Mówiliśmy długo, bo mieliśmy już ogromną odporność i przygotowanie, potem ona podniosła się i powiedziała, że wyjdzie, a wtedy podniosłem się i ja i wyszedłem zostawiając za sobą przyczajoną w drzwiach matkę. Zbiegłem ze schodów. Zaczekałem chwilę na dole, potem szedłem szybko, wiedząc na pewno, że ta rozmowa nie jest jeszcze zakończona. Półtora roku temu, w dwa tygodnie po poznanie, kiedy wszystko było jeszcze oczywiste, niespodziewanie mieliśmy pierwsze starcie i właściwie już można było przewidzieć dalszy ciąg. Gdy wtedy wyszedłem bardzo łatwo, trzaskając drzwiami, .nie spodziewałem się wcale, że jeszcze zadzwoni, nawet mnie jej spokojny głos w słuchawce ogromnie zaskoczył.

– Niestety, urwało się to także – smutnie zaseplenił Jan B. – Ale a propos: kiedy ty wreszcie skończysz z tą bezsensowną Ewą, z tymi bezsensownymi recenzjami i zajmiesz się w końcu poważnie prowokacją, szantażem i donosem? Moje uszanowanie, witamy, witamy.

– Co jest? – zatrzymał się Jarosław, młody dramaturg, który mimo dwudziestu ośmiu lat miał już wystawionych kilka sztuk, dwie kolejne żony i prawie zupełnie siwe włosy. Poznałem go, kiedy byłem z matką u Tomasza, pięćdziesięcioletniego subtelnego eseisty, krytyka i powieściopisarza. Tomasz wyrażał się o nim z wielkim uznaniem, „jakkolwiek jego tryb życia...” – rozkładał ręce. Od czasu spotkania u Tomasza młody dramaturg traktował mnie z wielką sympatią i bardzo uprzejmie.

– Co u Tomasza? – spytał teraz.

U Tomasza nie byłem dość dawno, ale powiedziałem, że wszystko w porządku.

– Czytałem twoją recenzję, masz dobre pióro – stwierdził z przekonaniem, starannie odmierzając słowa.

Oczywiście, wiedziałem, że recenzji nie czytał. Było to omówienie nieciekawej monografii historycznej, jedna z moich dwu napisanych dotąd recenzji, którą załatwiła mi matka w poważnym miesięczniku dzięki przyjaźni z Tomaszem. Tomasz załatwił mi tam ryczałt – co sprawiło, że mój ojciec ustosunkował się z większą wyrozumiałością do przyjaźni matki z Tomaszem, nawet może z pewnym szacunkiem, ponieważ odkąd skończyłem historię, sam przez parę lat bez rezultatu starał się załatwić mi pracę– w Instytucie Historycznym. Prawdę mówiąc, nie

miałem o to pretensji do ojca, nie czując specjalnej ochoty do pracy naukowej, a pensja, którą bym tam otrzymywał, nie była też szczególnie zachęcająca.

– Powinieneś pisać o prozie; Tomasz ci to załatwi.

Powiedziałem, że cieszę się z jego uznania, ale że oczywiście nie ma w ogóle o czym mówić.

– Chodźcie – machnął ręką Jarosław do czekających z szacunkiem w odległości paru metrów wysokiej blondynki, nie wyglądającej na więcej niż szesnaście lat, i szerokiego, dokładnie owiniętego modnym płaszczem. – Szkoda, że zamilkłeś zwrócił się do Jana B. – to duża szkoda.

– Niewątpliwie – skrzywił się Jan B. – Tylko że absolutnie nie mam o czym pisać.

– To miła dziewczyna – pokazał Jarosław blondynkę. – Zatrzymałem ją parę minut temu i powiedziałem: „Będę cię dzisiaj rznął”, a ona na to: „To już twoja sprawa.”

– Normalnie – powiedziała cicho dziewczyna. Miała szczupłą, delikatną twarz, wąskie, blade usta.

Jan B. zachował pełną obojętność, a owinięty płaszczem jeden z licznych czcicieli Jarosława, posiadający jako jedyną zaletę zamożnych, często wyjeżdżających rodziców, roześmiał się z uznaniem.

– Wybieramy się gdzieś później. Może się przyłączycie?

Oświadczyłem, że mam ważną sprawę do załatwienia. Chciałem przede wszystkim zadzwonić do domu i zorientować się, czy nie dzwoniła Ewa. Od tego uzależniałem kolejne przemyślenie sytuacji. Potem doszedłem do wniosku, że może lepiej w ogóle zajrzeć do domu, mógłbym wtedy skończyć recenzję, którą już dawno powinienem oddać. Poza tym byłem bardzo zmęczony, bolały mnie nagi i wiedziałem, że powinienem się położyć chociaż na godzinę.

Jan B. zakręcił się zdezorientowany. – Aha, Jarosławie, mam dla ciebie świetną historyjkę. Niemieccy ranni żołnierze wzięci przez nas do niewoli. Tłum kobiet oblega pociąg sanitarny. To jest już po powstaniu. Machają pięściami i krzyczą... Ale, ale, czy nie wstąpilibyśmy na kawę?

– Dobrze – powiedział wolno Jarosław. Chodźmy. Co dalej? Z wami – zwrócił się do dziewczyny i szerokiego, schowanego w płaszczu – spotkamy się za godzinę na obiedzie. Teraz idę porozmawiać z przyjacielem.

– Więc wtedy jedna z tych kobiet na dworcu zaczyna krzyczeć: „Ciszej, bo nie słyhać, jak jęczą!” Smaczne, co? Mówię tobie pierwszemu, możesz wykorzystać.

Dzidka otworzyła drzwi i rozjaśniła się w ostentacyjnie serdecznym uśmiechu. – Świetnie, że jesteś. – Przyglądała krótko obcięte czarne włosy. – Właśnie podaję obiad. Wiktor wrócił dziś wcześniej z Instytucji – dorzuciła jeszcze, kiedy wyminąłem ją już i usiadłem w pierwszym, największym pokoju w jednym z wyplatanych foteli, ustawianych dookoła stołu.

– Dzwonił ktoś?

– Oczywiście – znów serdeczny uśmiech Dzidki. – Dzwoniono.

Odczekałem chwilę i zapytałem bardzo spokojnie: – Ewa?

– Nie, Ewa nie dzwoniła. – Dzidka krążyła teraz szybko między kuchnią a stołem. – Dzwoniła Ilona, prosiła, żebyś koniecznie zadzwonił, jak tylko przyjdiesz. Dzwoniła dwa razy. – Znów energicznie zawróciła w stronę kuchni, krótka spódnica podkreślała długość jej nóg. – Zraz podaję zupe.

Z gabinetu – tak nazywał się pokój na końcu korytarza – wynurzył się ojciec. Był w spodniach od garnituru, spod rozpiętej koszuli wyglądała koszulka gimnastyczna, co zdaniem ojca podkreślało jego męskość i przychylny stosunek do ćwiczeń fizycznych. – Smaczno wszystkim – ciężko opuścił się na krzesło. Miał trochę po pięćdziesiątce i ostatnio mocno przytył. – Ciekawe, co też dzisiaj dostaniemy? – zatarł ręce i spojrzał na mnie uważnie. – A ty zmizerniałeś, niedobrze. Prawda, Dzidka, że zmizerniał?

– Tak, może rzeczywiście. – Uśmiechnęła się znowu, dwudziestopięcioletnia studentka biologii, która przelotny romans z moim ojcem w czasie jego nieoficjalnego pobytu nad morzem potraktowała bardzo poważnie, chociaż ojciec nie był nawet dyrektorem, ale tylko wicedyrektorem Instytucji, po powrocie do Warszawy, zaczęła odwiedzać go regularnie i wykorzystując je-

go narastający konflikt z matką, która wtedy właśnie coraz częściej przebywała u Tomasza, uparcie starała się zamieszkać na stałe w obszernym czteropokojowym mieszkaniu ojca z centralnym, loggią, widokiem na park i długim hallem. Zaczęła ostatnio przejmować wszystkie funkcje matki łącznie z prowadzeniem gospodarstwa, znosząc zmienne humory ojca, który wolałby może widywać ją rzadziej w domu, ceniąc nobliwy wygląd i kulturę matki, jej znajomość trzech języków, pracę nad przekładami książek. Matka odsuwając się coraz bardziej w stronę Tomasza traktowała Dzikę z pogardliwą obojętnością. W przekonaniu, że jest jednak z ojcem nieco zżyta, upewniałem się podczas wspólnych spotkań, kiedy zgodnie zajmowali się próbami wyprowadzenia Dzikki z równowagi. Myślę, że ojciec w gruncie rzeczy troskliwie utwierdzał się w przekonaniu, iż matka opuszcza go głównie ze względu na Dzikę. Było to oczywiście zupełnie nieprawdziwe, ale jedyne dla niego do przyjęcia racjonalne uzasadnienie zmiany w uczuciach matki. Posiadał jednak przy tym na tyle zdrowego rozsądku, że Dzikki pozbywać się nie zamierzał, jakkolwiek sprawa rozwodu i ewentualnego małżeństwa była przez niego poruszana w sposób raczej mglisty.

– Może jeszcze zupy? – Znów ciepły uśmiech Dzikki w moją stronę.

– Co z matką? – odpowiedziałem jej uśmiechem.

– Nie przyjdzie – powiedziała szybko – jest u Tomasza.

– Co cię obchodzi, gdzie jest? – ojciec podniósł szeroką twarz znad zupy. – Nie przyjdzie, to nie przyjdzie.

– U pana Tomasza – poprawiłem Dzikę i patrząc na jej twarz zaczerwienioną nagle, powtórzyłem: – pana Tomasza. – Poczułem na moment odprężenie i nawet było mi przez chwilę trochę jej żal, ale dodałem: – O ile wiem, nie jesteś z nim jeszcze w bardzo bliskich stosunkach.

Teraz poczerwieniał ojciec, ale zaraz opanował się, odprężył i roześmiał głośno. Ja patrzyłem dalej na Dzikę, czekałem na jej wybuch i wiedziałem, że nie nastąpi. Oczywiście, opanowała się wiedząc, że na żadne poparcie ze strony ojca liczyć nie może, a czuła się jeszcze za słaba na prowadzenie dodatkowych rozgrywek ze mną. Uśmiechnęła się więc znów o wiele za serdecznie i podsunęła mi półmisek z mięsem. – Przecież to lubisz, a jesteś mizerny.

Zastanawiałem się, czy w ogóle można przełamać jej opanowanie, interesowało mnie to właściwie tylko teoretycznie, bo jej obecność w domu nie przeszkadzała mi, nawet ciekaw byłem końcowej rozgrywki, w którą wciągała się z takim uporem.

– No i cóż u ciebie? – Już przy herbacie rozparł się wygodnie w fotelu ojciec. Rozpinając kolejny guzik koszuli odsłonił rudawy zarost, wyglądający spod gimnastycznej koszulki. – No, opowiadaj. Pracujesz ostatnio; piszesz coś? Do domu często nie wracasz, a to niedobrze. Czy utrzymujesz znajomość z tą magister architektury, Ewą? Owszem, ładna, oryginalna, tylko nerwowa. Ale pracowita – zastanowił się. – Nawet może ma na ciebie dobry wpływ, tylko że dużo tam ona nie wyciągnie. To nie przemysł. I męża już miała – pokiwał głową.

– Przeszkadza ci to?

– Nie, nie przeszkadza. Przynieś mi jeszcze, Dzikciu, herbaty.

Zastanowiłem się, co może teraz robić Ewa i czy zadzwoni. Przypuszczałem prawie na pewno, że Ewa nie poszła dziś do tej prywatnej firmy kończyć urządzenie wnętrza, za co spodziewała się sporej sumy pieniędzy. Leżała pewno na tapczanie; a ja nie miałem sił do niej dzwonić, nie miałem sił na rozważanie wszystkiego jeszcze raz i nie czułem do siebie żadnego żalu, może tylko o to, że w końcu dałem się wciągnąć, ale nawet te myśli nie były nowe. Wolałem poczekać.

– Ale, ale, wyobraź sobie, załatwiałem dzisiaj w Ministerstwie pewną sprawę Instytucji, i kogo spotykam? Miałaś kiedyś kolegę Edwarda, pamiętasz?

Kiwnąłem głową, że pamiętam Edwarda L. Był ze trzy lata starszy ode mnie i właściwie wcale nie był moim kolegą. Studiował ekonomię, potem przeniósł się na politechnikę, potem pracował zawodowo w zrzeszeniu studentów.

– Otóż kogo spotykam dziś w Ministerstwie? Właśnie jego. I proszę, jest wicedyrektorem departamentu. Przypomniałem mu się, powiedziałem, że jestem twoim ojcem, porozmawialiśmy. Przyjemny człowiek. Mówił mi, że byłeś zdolny, inteligentny i szkoda, że się marnujesz i wykolejasz. Powiedział nawet, żebyś wpadł do niego do resortu, to może ci coś stałego gdzieś załatwi.

– To ładnie z twojej strony, żeś z nim pogadał o mnie.

– A ładnie. Czas, żebyś coś zaczął. Owszem, rozumiem, że trzeba wolno i cierpliwie, to bardzo ważne, ale należy gdzieś się zaczepić konkretnie, nie żadne ryczałty. Zaczepić i potem też cierpliwie, inteligentnie. Na nerwowo i bez planu do niczego nie dojdiesz, jak na froncie. – Zaciągnął się papierosem i sprawdził, czy Dzidka, która już sprzątnęła ze stołu i usiadła w fotelu bliżej okna, zachowując dystans, nie narzucając się, ale jednocześnie podkreślając celowość swojej obecności manipulacjami przy doniczce z kwiatami, słucha uważnie. – Wtedy na froncie – ciągnął zadowolony z jej uważnej, zasłuchanej twarzy – kiedy dostawałem krzyż, trzeba było też leżeć cierpliwie, podczołgać się patem i wyskoczyć naprzód. Zamachał rękami.

– No i wyskoczyłeś na czas.

– Wyskoczyłem. Może cię to bawi, ale wyskoczyłem. Pewno – zastanowił się – powinienem w życiu zejść dalej, ale i tak nie było mi łatwo. W pokoju w biurze, gdzie pracowałem po wojnie, stały cztery szafy, a nas było trzech. Zawsze zaczynało się dzień od otwierania szaf. Najpierw ja otwierałem wszystkie, potem już tylko jedną, a patem ja mówiłem codziennie o ósmej: „Otworzymy szafy.”

– A tamtych dwóch jak podmieniłeś?

– Gorzej pracowali, wolniej. Wiesz, Dzidziu? Czytałem wczoraj w gazecie, że ktoś zbił kobietę po twarzy. Młody człowiek – spojrzał na mnie – w twoim wieku albo i młodszy. Ja rozumiem, wiele się zmienia, ale ja nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety w twarz. A wiecie dlaczego? Nie widziałem powodu. A poza tym – popatrzył dumnie nigdy nie musiałem. Ten kolega twój, Edward, ma wóz służbowy.

– Ty też będziesz miał – pocieszyłem go – jak zostaniesz dyrektorem.

– Może będę – rozjaśnił się. – Ale ty nie.

– Pewno nie – Wstałem od stołu. Nie miałem dziś szans na skończenie recenzji, ale nie chciałem też wychodzić z domu. Podszedłem do okna. Teraz uważne spojrzenie Dzidki, i znowu uśmiech. Jest ładna i zgrabna i wie o tym. Ciekaw byłem, ile musi kosztować ją to, żeby żyć z moim ojcem, znosić spotkania z matką i nie wycofać się. Właściwie miałem dla niej sporo uznania – postawiła na ojca i była konsekwentna, mając pełną akceptację swojej rodziny, mieszkającej w pięć osób w dwóch małych pokojach na Pradze. Na ulicy oglądali się za nią różni mężczyźni, ale ona nie interesowała się nikim. Nie interesowała się także zupełnie mną, chociaż w pierwszym okresie robiłem, w celach raczej doświadczalnych, pewnie posunięcia. Była jeszcze jedna możliwość, że to wszystko nie sprawiało jej tak dużej przykrości. Zresztą, rozgrywała bardzo dobrze i coraz częściej ojciec odczuwał jej niezbędność. Widziała coraz bardziej ostentacyjne lekceważenie i niechęć matki w stosunku do ojca i miała pewność, że to nie pozostanie bez wpływu na jej pozycję. Na początku historii z Tomaszem, kiedy matka powoli zaczynała się przeprowadzać i parę razy nie nocowała w domu, nie ukrywając zresztą niczego przed ojcem, pozostawiając mu swobodę decyzji w sprawie rozwodu (notabene Dzidka już wtedy kilkakrotnie pojawiała się w naszym domu), ojciec odbył telefoniczną rozmowę z Tomaszem. Długo krzyczał przy telefonie, poczerwieniał, był bardzo godny i oskarżycielski. Mówił o podstawowej komórce społeczeństwa oraz o łajdactwie i niemoralności. Potem rzucił słuchawkę i przez parę dni był z siebie bardzo zadowolony. Tomasz wprawdzie odłożył słuchawkę już po paru słowach, ale ojciec i tak czuł, że wypełnił jak należy swój obowiązek, także wobec mnie, bo zażądał, abym był przy tej rozmowie obecny. Potem próbował jeszcze rozmawiać z matką, wreszcie oświadczył, że w każdym razie jego dom zawsze pozostanie dla niej otwarty, co było deklaracją

raczej bez znaczenia, bo matka oznajmiła, że nie przenosi się definitywnie i zamierza nadal korzystać ze swojego pokoju oraz z całego mieszkania do momentu wyjaśnienia sprawy.

O czwartej nakręciłem numer Ewy. Słuchawkę podniosła matka. – Czy to może szanowny pan? Niestety, nie ma w domu mojej córki, tylko jest jej matka, z którą właśnie szanowny pan raczy rozmawiać.

– A czy nie zostawiła żadnej wiadomości? Opanowałem się, jeszcze raz się opanowałem, żeby nie kazać jej zamknąć się i raz na zawsze uciąć tę obrzydliwą ironiczną grzeczność. Wiedziałem, że w końcu to zrobię, ale ciągle to odkładałem.

– Niestety, nie poleciła mi nic przekazać szanownemu panu. W każdym razie cieszę się, że pan zechciał...

Czułem, że Ewa też nie miałaby nic przeciwko temu, żebym porozmawiał z jej matką ostro. Chyba nawet chciała tego, czekała na to. Wiedziałem, że to podniosłoby mnie w jej oczach. Ale Ewa nigdy nie liczyła się z następstwami. To by już oznaczało otwartą wojnę. Oczywiście, kiedy myślałem o tym, że Ewa wyprowadzi się stamtąd i zamieszka gdzie indziej, może ze mną, zawsze łączyło mi się to z ostateczną rozmową z jej matką. Może nawet niechęć i niewiara jej matki w sens związku Ewy ze mną zbliżała mnie mocniej w krytycznych chwilach do Ewy. Oczywiście, dziś też była już na pewno po przemowie do córki, co zawsze potęgowało w Ewie nerwowe napięcie. Bo, co gorsza, ona nie zawsze mówiła głupio.

Krążyłem szybko po hallu. Ewy jednak nie było w domu. Może poszła zajmować się wnętrzem tej firmy, pieniądze za to miała włożyć na książeczkę mieszkaniową. Matka nie zgadzała się na wymianę mieszkania na dwie kawalerki, mimo że Ewa obiecywała jej służącą i stałą opiekę. Przedtem myśleliśmy o jakimś pokoju sublokatorskim. Ostatnio nie mówiliśmy już o tych sprawach. Mogła poza tym wyjść na moment kupić coś.

– Coś się stało? – wychylił się ojciec z gabinetu. – Dzidka – rzucił w stronę kuchni – jeśli skończyłaś z naczyniami, to chodź.

– Zaraz będę gotowa.

Matka Ewy znów kilkoma dobrze dobranymi słowami wyprowadziła mnie z równowagi i nie dowiedziałem się niczego. Może nawet Ewa była w domu, ale ta nie chciała jej zawołać. Ale wtedy matka nie używałaby tego „szanowny pan”, przeznaczonego wyłącznie dla mnie. Już w drzwiach pokoju zawrócił mnie dzwonek telefonu.

– Aha, to ty. Czy nie ma jeszcze Celiny? usłyszałem jak zawsze trochę zachrypnięty głos Tomasza. Ciągle nie mogłem się jeszcze zdobyć na zwracanie się do niego po imieniu mimo licznych przyzwoleń i niemal nakazów, używałem więc form wymijających. – Wyszła ode mnie przeszło godzinę temu, miała być u was na obiedzie. Zapomniałem zupełnie porozmawiać z nią o dość ważnej sprawie. Ależ, to w końcu nic tak pilnego – odpowiedział na moje uprzejme wyjaśnienia, że przykro mi, lecz niestety matki jeszcze nie ma. – Świetnie w każdym razie, że ty jesteś. Czy odniosłeś już – wymienił imię redaktora miesięcznika – tę recenzję?

Powiedziałem, że jeszcze nie, ale już piszę ostatnie zdania.

– Rozumiem. – Zawahał się chwilę. – Jeżeli znalazłbyś chwilę czasu, może zajrzysz do mnie na moment. Miałbym może dla ciebie pewną dość atrakcyjną propozycję... Dobrze, czekam.

Wychodząc z domu minąłem się z idącą właśnie do pokoju ojca Dzidką. Była tylko w rozchylonym na piersiach szlafroku, wymieniliśmy uważne spojrzenia.

Tomasz przywitał mnie dość powściągliwie, chwilę nawet jakby zawahał się, zanim wskazał mi miejsce, i usiedliśmy w głębokich skórzanych fotelach na tle ciężkiej biblioteki. Nad zarzuconym maszynopisami biurkiem wisiał pejzaż Fałata. Tomasz trochę nerwowo zgarnął z biurka parę luźnych kartek, postawił butelkę koniaku i dwa kieliszki.

– Dawno nie rozmawialiśmy, odniosłem wrażenie, że nie masz specjalnej ochoty na rozmowę ze mną – powiedział patrząc na mnie uważnie Ubrany był w elegancki flanelowy garnitur. Gęste siwe włosy szczesane były na bak.

Zaprotestowałem tłumacząc, że było mi niezręcznie, bo nie skończyłem recenzji, ale że oczywiście absolutnie go nie unikam. Przerwał mi niecierpliwym ruchem ręki.

– Oczywiście, byłoby nonsensem, gdybyś mnie unikał. Chodzi mi o taką rzecz. – Wysunął naprzód mocno zarysowaną szczękę, patrzył trochę nade mną, kiedy zapalał papierosa, wyczułem w nim pewne napięcie. – Zamówiono u mnie pewien scenariusz, dotyczący spraw współczesnej młodzieży. Pewne realia wymykają się już mojej obserwacji. – Podniósł się, podszedł do biblioteki i starannie wyrównywał książki. – Po prostu pewnych spraw już nie czuję. – Odwrócił się, spojrzął na mnie nieuważnie i nagle szybko wracając na fotel, nappełnił kieliszki. – Chyba już rozumiesz – ciągnął dalej, kiedyśmy wypili. No, to chyba jasne – wzruszył ramionami na mój trochę niepewny gest – to chyba jasne. Masz dwadzieścia sześć lat, własne problemy, znasz problemy innych w twoim wieku. Reasumując: mógłbyś mi pomóc rewanżując się choćby za te recenzje. – Znów przekręcił się w fotelu, patrząc teraz w stronę okna. – Oczywiście, zależnie od tego udziału – mówił jednostajnie – otrzymałbyś pewną część honorarium, może nawet uznałbym cię za współautora.

– Czy to pomysł mojej matki?

Tomasz odwrócił się, spojrzął na mnie ostro, ze złością, potem nagle uśmiechnął się i nappełnił kieliszki.

– Znów nonsensem. Wypijmy i przejdźmy do rzeczy. Musiałeś obmacać się w różnych środowiskach, z pewnością masz mnóstwo obserwacji. Słyszałem, że w czasie studiów ćwiczyłeś boks i że zdarzyło ci się wykorzystywać to na ulicy.

Odpowiedziałem, że jest w tym dużo przesady, ale on znów niecierpliwie machnął ręką.

– Pisać będę oczywiście ja, chociaż – zatrzymał się – ty też możesz spróbować pewne fragmenty, na przykład parę dialogów. Oczywiście cała sprawa pozostanie na razie w tajemnicy, także przed twoją matką. To będą nasze męskie sprawy. Wyglądasz na zaskoczonego – uśmiechnął się. – Więc co, zgoda?

Powiedziałem, że nie wiem, czy będę mógł, to znaczy, czy będę umiał mu pomóc, ale zrobię wszystko... I potem, ciągle jeszcze niepewny, oszołomiony tym wszystkim, dodałem coś o wdzięczności.

Wtedy wzruszył ramionami. – Nic takiego powiedział – nic takiego. – Podniósł się, przeszedł po pokoju, odwrócony tyłem przerzucał jakąś książkę. I kiedy zastanawiałem się, szukając słów, które powinienem wypowiedzieć, znów wrócił na fotel, podniósł kieliszek, szybko wypił i potem gwałtownym ruchem, podejmując decyzję, położył mi dłoń na ramieniu. – Lubię cię, słyszałem, że jesteś niezły huncwot. – I w momencie gdy zaczynałem już rozumieć, ostrożnie przeniósł mękę na moje udo, twarz jego straciła całą ostrość, kiedy z wielkim napięciem, prawie żałośnie, błagalnie patrząc mi w oczy, wolno przesunął dłoń ku górze.

Odsunąłem się lekko z fotelem. Nie czułem już zdumienia, tylko wielkie wzbierające rozczarowanie. Cała ta propozycja stała się dla mnie zupełnie nierealna, a już chwilę przedtem widziałem zachwycone twarze Ewy i mojej matki. Potem zacząłem myśleć o matce i niespodziewanie dla siebie, nagle omal się nie roześmiałem. Ale zacisnąłem mocno wargi i opanowałem się. Tomasz, obserwujący mnie z napięciem, znów przysunął fotel.

– Przepraszam cię – powiedział cicho. – Bardzo przepraszam. Musimy jeszcze porozmawiać, musimy się nad tym wszystkim razem zastanowić.

Nagły dzwonek telefonu podniósł go na nogi. Niechętnie wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. – Koniecznie teraz? – dobiegał mnie jego zdenerwowany głos – załatwimy to jutro. – No, proszę cię, nie upieraj się – dorzucił nagle miękko. – No, dobrze już, dobrze, niech będzie.

Wrócił, spojrzął na mnie niepewnie i zatrzymał się przy oknie. – Będę cię musiał niestety przeprosić – powiedział znów niespodziewanie ostro. Może wrócimy jeszcze do tej rozmowy. – I ciągle nie patrząc na mnie dorzucił: – Mam w tej chwili bardzo ważną sprawę.

Zbiegłem z drugiego piętra. Wychodząc z klatki schodowej minąłem wysokiego, rozkołysanego chłopca, który ruszył na górę.

Ostrożnie przekręciłem klucz w zamku. Stałem przedtem chwilę pod drzwiami nasłuchując. Nie miałem już siły telefonować, poza tym wiedziałem, że znów nie dogadam się z jej matką. Po rozmowie z Tomaszem chciałem jednak zobaczyć Ewę. Gdybym miał pewność, że wróciła, może nie musiałbym nawet z nią rozmawiać. Pchnąłem wolno drzwi, wszedłem do małego, zapchanego dwiema szafami korytarza. Drzwi do pokoju Ewy były otwarte, w kuchni było cicho, do matki Ewa ostatnio nie wchodziła. Właściwie mogłem już wyjść. Ale zrobiłem jeszcze parę kroków do długiego stolika, na którym Ewa zostawiała mi czasem krótkie kartki, zobaczyłem, że na porozrzucanych książkach nie leży nic, i teraz już na pewno mogłem wyjść. Ale właśnie wtedy powitała mnie z tyłu szanownym panem matka. Stała w drzwiach, drobina, wysuszona, sztywno wyprostowana, zupełnie niepodobna do Ewy, patrząc na mnie uważnie wielkimi, za blisko osadzonymi oczami. Musiała obserwować mnie już od dłuższego czasu i oczywiście mój niepokój i zaskoczenie sprawiły jej satysfakcję.

– Jednak szanowny pan zjawił się osobiście. No, proszę! – Poprawiła ręką o wiele na nią za długi, poprzecierany sweter Ewy. Ubierała się w domu zawsze ostentacyjnie niedbale, chcąc podkreślić swoje i córki kłopoty materialne. Był to jeszcze jeden argument przeciwko mnie. Ewa usiłowała walczyć z matką, ale ta nie miała zamiaru ustąpić: „Na więcej nas nie stać, będzie stać, to włożę co innego.” Nowy kostium, który dostała niedawno od Ewy, sprzedała znajomej, a pieniądze wpłaciła do PKO. „Ty nie dbasz o naszą przyszłość, to ja muszę.”

– Wybacz pan, że nie będę dotrzymywała mu towarzystwa, ale w końcu znamy się tak dawno, że formy towarzyskie już nas nie obowiązują.

Od zakończenia wojny nie pracowała, przedtem prowadziła duży sklep konfekcyjny w śródmieściu. Mąż nie wrócił z wojny. Żyła z ocalonych kosztowności, mając jednocześnie stałą pensję od Ewy. Uporczywie usiłowała pchnąć Ewę w stronę jej pierwszego męża, bardzo dobrze zarabiającego inżyniera budowlanego, z którym Ewa rozeszła się trzy lata temu. Inżynier wyjechał ostatnio jako ekspert do Ghany, gdzie zarabiał jeszcze lepiej; wrócił bez włosów, ale długą białą limuzyną, którą przez jakiś czas zatrzymywał przed domem Ewy, rozmawiał z nią, rozmawiał z matką, i potem przestał przyjeżdżać. Tego też matka nie mogła mi darować, uważając, zupełnie niesłusznie, że Ewa odrzuciła możliwość użytkowania białej limuzyny tylko ze względu na mnie.

Słyszałem, że matka Ewy nastawia w kuchni czajnik. Wyciągnąłem się na szerokim tapczanie i zastanawiałem, gdzie jest Ewa, pomyślałem znów o Tomaszu, o z takim trudem zdobytym ryczałcie, o recenzjach, o nadziejach matki, i co bym zrobił, gdybym był już teraz po napisaniu scenariusza z Tomaszem, o pracy Ewy przy urządzaniu wnętrza tej firmy. Po pierwszym małżeństwie Ewa odsunęła się od grupy dobrze ustawionych architektów, z którymi współpracowała zaraz po studiach. Teraz była jeszcze dalej, robiąc szybkie, dość głupie prace, co przekreślało jej szanse na wybicie się. To wszystko sam jej mówiłem i ona to zresztą wiedziała, ale nie miała już sił na szukanie dojsć, na próby odnawiania stosunków, znoszenie upokorzeń i niepowodzenia, rezygnowała więc z tego uważając, że w sumie coś jednak wygrała. Nie żałowała, że odeszła od męża, i nie żałowała, że jest ze mną. Obserwowałem jej wzrastające uzależnienie ode mnie i niepokoiło mnie i drażniło jej zaufanie, czułem się wciągany coraz bardziej, współodpowiedzialny za jej różne problemy, za matkę, za mieszkanie, za tę pracę. Jednocześnie coraz wyraźniej widziałem, ile mnie od niej dzieli. Nawet nie te parę lat różnicy, ale inne myślenie o życiu, inna dojrzałość, jej wzrastająca nerwowość, w którą też byłem wplątany i za którą byłem również jakoś odpowiedzialny. Potem ona zaczęła to wyczuwać, potem rozumieć – wtedy zaczęły się rozmowy. Patem chciała odejść. Ale ja uczepiłem się jej, zatrzymałem ją kurczowo, chociaż miałem zupełnie inne plany na rozegranie życia, w których ona była wydarzeniem nonsensownym i niezrozumiałym. Ale nie mogłem też sobie powiedzieć, że rezygnuję z tych planów do końca, dlatego odwiedzałem Ilonę, dziesięć lat młodszą od Ewy maturzystkę, odwiedzałem ją na Saskiej Kępie – w ładnej willi. Chodziłem do niej z eseistą Janem B., któremu

willa nadzwyczaj się podobała i który bardzo polubił picie koniaku z ojcem Ilony. Chodziłem tam, żeby się przekonać, że nie zrezygnowałem ze swoich koncepcji i że mogę się wycofać poza Ewę. Ale byłem z nią dalej, może nawet bardziej związany niż przedtem przez to, że chciała odejść i że ja ją zatrzymałem. Jednocześnie opowiadałem jej dużo różnych historii, rozbijając jej drażniącą naiwność, jej widzenie różnych spraw, które przyciągało mnie, zatrzymywała przy mnie, ale wytrącało z równowagi i które musiałem niszczyć. Opowiadałem o jej przyjaciółkach i o jej znajomych historie prawdziwe i znów drażniło mnie jej oburzenie, zwrócone przeciwko nim i przeciw mnie. Opowiadałem coraz więcej, o wiele więcej, niż chciałem powiedzieć i niż to miało sens. Opowiadałem o Teresie–Psiarze i Baśce–Flecistce, i Paskudzie, o różnych z nimi wieczorach, na których byłem albo o których słyszałem, utwierdzając się w tym, że musi i że powinna to wiedzieć, i potem słuchałem jej krzyku, słuchałem spokojnie, bo byłem bardziej opanowany i mogłem nawet w momentach najgorszych dobierać słowa. Jednocześnie coraz bardziej narastało między nami napięcie, ona patrzyła już na mnie inaczej i musiałem teraz uważać spoglądając przy niej na inne kobiety, bo ona obserwowała je teraz według mojego klucza. I potem rozmawialiśmy znowu i coraz bardziej się w te rozmowy wciągałem, nie zawsze już mając przewagę.

W hallu zadzwonił telefon, potem usłyszałem szybkie kroki matki. To nie była Ewa. Spojrzałem na zegarek. Co mogła robić do ósmej na mieście? Wyszedłem na korytarz.

– Jednak pan nas opuszcza. Zapomniałam panu przedtem powiedzieć, że Ewa wyszła dziś zaraz po panu, chyba o piątej rano.

Zastanawiałem się, czy mnie okłamuje i po co. Wyczuła to natychmiast i uśmiechnęła się: – Pan szanowny oczywiście może mi nie wierzyć. Nie mówiłam tego, gdyż sądziłam, że pan o tym wie, ale widocznie szanowny pan nie cieszy się pełnym zaufaniem mojej córki.

Wyszedłem na schody. Byłem nadal prawie pewny, że matka kłamie.

– Widać, że się szanowny pan za bardzo nie przejął – wychyliła się za mną.

– Spokój – zatrzymałem się. – Już! Przestraszyła się, cofnęła szybko, bez słowa zamykając drzwi. Usłyszałem cichy trzask. Obserwowała mnie podniósłszy klapkę przy drzwiach. Musiała być jednak zaskoczona – myślałem zbiegając na dół. Już dla siebie kończyłem z nią rozmowę, mówiąc wszystko. Stałem w bramie, zastanawiając się, jak wpadła na to, żeby wymyślić tę idiotyczną historię z wyjściem Ewy, ile musi mieć do mnie złości i niechęci. Ale zaraz w tę historię uwierzyłem i wiedziałem, że uwierzyłem w nią od początku i dlatego tylko wydobyłem dla matki te słowa. Idąc w kierunku głównej ulicy znów wróciłem do przebiegu rozmowy z dziesięcioletniej nocy szukając w niej słów ostatecznych. Potem pomyślałem o mężu inżynierze i byłem już w centralnym punkcie głównej ulicy, w miejscu, które mijałem dzisiaj dwa razy, skręciłem koło zamkniętej już kawiarni elitarnego wydawnictwa i w restauracji po drugiej stronie, przrzucając książkę telefoniczną, przyjrzałem się sobie w wielkim lustrze przy szatni. Miałem opaloną twarz, na której nie widać było zmęczenia, może tylko w trochę zmrużonych oczach. Znalazłem ten numer, ale przedtem zadzwoniłem jeszcze do ojca i po paru słowach odłożyłem słuchawkę nie reagując na jego zainteresowanie. Potem nakręciłem znaleziony numer inżyniera i odłożyłem słuchawkę słysząc uprzejmy głos młodej kobiety. Dałem dwa złote szatniarzowi i odpowiedziałem na uśmiech stojącego obok mnie krępego blondyna z długimi falującymi włosami, opiętego w zniszczoną skórzaną kurtkę. Stał z hełmem motocyklowym w ręku, obrzucany niechętnym spojrzeniem szatniarza. Wyciągnął do mnie rękę. Przywitałem się, ale poznałem go dopiero po paru zdaniach, które wypowiedział szybko, cały czas ściskając mnie za rękę. Kończył razem ze mną historię, opowiadał teraz, że ożenił się, mieszka w sporym miasteczku, uczy historii, wziął Junaka na raty i dodatkowe godziny geografii. Mówił, ciągle nie wątpiąc w moje zainteresowanie, a ja słuchałem go nawet dosyć przychylnie, bo właśnie przypomniałem sobie, że Ewa mówiła mi o powtórnym małżeństwie inżyniera. Odwróciłem się teraz w stronę sali, od barku pomachał do mnie Jarosław. Obok siedziała subtelna szesnastoletnia, wydobyty z płaszcza

i przez to trochę pomniejszony wyznawca Jarosława oraz Jan B., który widocznie utrzymał się przy nich do wieczora.

– Może wypijemy? – uśmiechnąłem się bez przekonania do kolegi ze studiów, który dalej ciągnął opowiadanie, ale bałem się, że lada chwila skończy i zacznie serdecznie a szczerze pytywać, jak mi leci. Zmartwiłem się jego wyjaśnieniem, że nie może, bo właśnie prowadzi motor i musi dziś jeszcze przejechać prawie dwieście kilometrów, rozłożyłem bezradnie ręce, ucieszyłem się raz jeszcze z naszego nieoczekiwanego spotkania, usłyszałem, że on cieszy się także. I właśnie wtedy, już właściwie przy końcu, spytał, jak mi leci, a ja odpowiedziałem, że nieźle, dokładnie tak, jak to sobie przed chwilą wymyśliłem, poparłem to mocnym uściskiem dłoni i dodałem .też, że się jeszcze nie ożeniłem.

– Pewnie – powiedział teraz on. Przyglądał mi się dokładnie, sprawdzał jakość butów, garnituru, krawata. – Pewnie – powtórzył. – Tutaj w mieście... – Posmutniał trochę. – No, lecę. Czeka ją tu na ciebie. No to cześć! Najserdeczniej.

– No to cześć! – Skręciłem w stronę Jarosława. – Na pewno się kiedyś spotkamy.

– Na pewno.

Zobaczyłem jeszcze, że przerzuca książkę telefoniczną, potem usiadłem na wolnym krześle przy barku. Jarosław przysunął w moją stronę przygotowany jarzębiak.

Jeśli nie masz innych planów, może wpadniesz dziś z nami do niego – wskazał krótko ostrzyżonego szerokiego. – Obiecuje koniak.

Powiedziałem, że może wpadnę, i Jarosław zamówił dla mnie następny jarzębiak. Z boku Jan B. obiecywał rewanż.

– Już wkrótce ukaże się specjalny numer wymienił nazwę miesięcznika – poświęcony romantyzmowi. Nie może w nim zabraknąć głosu eseisty Sobieskiego. Tak, tak, powinniście brać z niego wzór. Z daleka od łatwych .koniunktur tworzy autentyczne wartości kulturowe.

Jan B. zdradził mi kiedyś, że posiada pewien udział w autorstwie tych esejów, przy czym rezygnuje z umieszczenia swojego nazwiska w zamian za pewne rekompensaty finansowe.

Kolega z uniwersytetu roześmiał się przy słuchawce, przekazując trochę za głośno pozdrowienia od siebie i żony.

Pomyślałem, że Ewa mogła po prostu iść do kina. Od dawna szykowała się na słynny film japońskiego reżysera. Wyszła rzeczywiście wcześniej rano, załatwiła sprawy ze swoją firmą; poszła do kina, a potem na spacer. Przez chwilę nawet ta myśl wydawała mi się zupełnie prawdopodobna.

– Tak, tak, niełatwo jest oderwać się od wirówki nonsensu w „Cafe Snob”, a eseista Sobieski to potrafi.

Oczywiście do kina na pewno nie poszła, nigdy nie chodziła sama. Mogła na przykład wstąpić do tych znajomych, u których byliśmy wczoraj, do tej lekarki, mogła czegoś u niej zapamiętać i teraz wrócić i zostać na herbacie. Albo mogły razem pójść do kina. Potem pomyślałem, że jeżeli rzeczywiście wyszła o piątej rano, to sprawa może wyglądać jeszcze gorzej, i wtedy właśnie przez chwilę zacząłem się bać. Ale odrzuciłem zaraz tę myśl i tę sprawę czując znów ciężar odpowiedzialności i winy, wróciłem do historii z kinem, która nie była dla mnie taka niekorzystna – Ewa mogła uspokoić się, porozmawiać z ludźmi. Wydawało mi się, że za dużo rozmawialiśmy ze sobą, że za dużo sobie mówiliśmy, że często byliśmy razem. A może właśnie Ewa wyjechała na parę dni, na tydzień? Pomyślałem, że chyba nie czułbym się z tym źle. Potem znów zrobiło mi się jej żal i poczułem za to złość do siebie. Przypomniałem sobie, jak mówiła mi, że wyjedzie na parę dni, obserwując mnie uważnie, wyczekując mojej reakcji, a ja odpowiedziałem wykrętnie, czując jej ciężką, duszącą podejrziwość.

– Mamy wiadomości, że ona – pokazał Jarosław dziewczynę – ma ojca nauczyciela, który splukuje się na nią, oraz szesnaście lat. Ona uważa jednakże, że splukuje się na nią za mało, poza tym konfrontując zasady ojca z życiem oraz jego mieszkanie z innymi mieszkaniami jest właśnie w trakcie poszukiwania zasad innych.

– Ty jej znajdziesz, nie, Jarek? Znajdziesz jej – roześmiał się szeroki.
– To zresztą są tylko przypuszczenia – nie zwracając na niego uwagi ciągnął Jarosław. Kim jest twój ojciec? – spojrzał na dziewczynę.

– Pracuje w banku. – Dziewczyna starannie ułamywała główki zapalek.

– Jako właściciel?

– Co się, Jarek, wygłupiasz – roześmiał się szeroki. – Ty jak co powiesz...

Ten kolega ze studiów – chyba Władek – skończył rozmawiać przez telefon, skłonił się niezgrabnie w moją stronę i szedł opięty zniszczoną motocyklową kurtką, z hełmem w ręku, dochodził już do drzwi, i wtedy właśnie odleciał nagle śmiesznie do tyłu, zatoczył się na szatnię i zatrzymał podnosząc rękę do twarzy, a za nim wszedł duży, odrobinę chwiejący się na nogach, gładko przylizany właściciel warsztatu samochodowego, którego znałem z widzenia, któremu ostatnio szło coraz gorzej i zaczął ostro pić. Z tyłu przytrzymał go za rękę o wiele niższy, z małą, szarą twarzą. Teczke trzymał w jednej ręce, drugą wczepiał się w niego powtarzając: „Tadek, to nie ten.”

Władek rozejrział się, przejechał spojrzeniem po mnie i poszedł w stronę drzwi.

– To nie ten – zapiszczał znowu mały, szary. – Coś ty, Tadek, coś ty!

– Panowie, dzwonię po milicję – wysunął się zza kontuaru szatniarz i zaraz, odepchnięty, poleciał na bok.

– Może i nie ten – powiedział duży z czerwoną gębą – może i nie ten, ale jak nie ten, to niech pokaże ptaka. Może pokazać, nie?

– Przepraszam pana – powiedział chyba – Władek cicho, dotknąwszy ręką twarzy. – Proszę mnie przepuścić.

– Nie przepraszaj, chamie, tylko pokaż ptaka. No już! – zamachnął się szeroko.

Jarosław złapał mnie mocno za marynarkę. Czeka! – syknął – czekaj!

– No już, wyjmuj!

– Coś ty, Tadek, coś ty!

Teraz krótko zamachnął się Władek. Duży poleciał na drzwi i wolno osunął się po nich na ziemię. Władek skręcił w stronę szarego, który zaszył się w kąt. Potem nagle włożył hełm na głowę i wyszedł.

– Ładnie go uderzył, musiał kiedyś ćwiczyć. Pan go zna? – zwrócił się do mnie szeroki, przyjaciel Jarosława.

– Może ćwiczył – odpowiedziałem.

Jarosław spokojnie podniósł kieliszek. – No i w porządku – powiedział. – Zawsze w końcu można było doskoczyć, ale tak jest o wiele lepiej. Zgarnęliby nas wszystkich, a nie mam dużej chęci nocować w komisariacie. Może to dlatego, że nocowałem tam wczoraj. W dość podobnej sytuacji.

Duży, podtrzymywany przez szarego, wolno podnosił się z ziemi.

– Widzisz, Tadek, widzisz – pochlipywał tamten.

Duży wytarł zakrwawione usta i odepchnął go na bok.

Teraz weszło dwóch milicjantów, szatniarz, nerwowo gestykułując, wyjaśniał im sytuację.

– Szybko są – z uznaniem uśmiechnął się szeroki. Spojrzał na zegarek. – Pięć minut.

– Właśnie – skrzywił się Jarosław. – Śródmieście. Widziałem, jak szatniarz dzwonił – rzucił w moją stronę.

Błada szesnastoletnia bawiła się zapalkami.

– Zachowanie wasze, jakkolwiek niezbyt może etyczne, oparte jednak było na przesłankach dość racjonalnych – wolno, z namysłem rozpoczął Jan B.

– Jedziesz z nami? – rzucił w moją stronę Jarosław.

Powiedziałem, że może pojedę. Jan B. oświadczył, że zostaje, ponieważ jest za pół godziny umówiony z eseistą Sobieskim.

– Rodzice wzięli wóz – wyjaśnił w moją stronę szeroki. – Tak więc, niestety, taksówką. Kiwnąłem głową, co miało oznaczać zainteresowanie i współczucie.

– A co za rzecz? – spytała blada szesnastoletnia.

– Opel–Record, nic takiego. – Zawsze niezły.

– Pewnie, że niezły. Ciągnie sto pięćdziesiąt, automatyczna skrzynia – wyjaśniał już na ulicy szeroki.

Normalnie – kiwnęła głową dziewczyna.

– Jesteś inteligentny – spojrzał na mnie Jarosław – i masz niezły warsztat. To dobrze, że trzymasz się Tomasza, to dobra szkoła. Sporo się od niego nauczysz. Powinieneś zacząć pisać o literaturze. Co jest z tobą? – spojrzał uważnie.

Powiedziałem, że nic i że może istotnie zacząć pisać o literaturze. Byłem właściwie pewny, że Jarosław wie o Tomaszu i że oczywiście przecenia stopień mojej z nim zażyłości. Przy okazji zastanowiłem się, czy on też kiedyś rozmawiał z Tomaszem i z jakim wynikiem. To trochę poprawiło mi humor.

Taksówka wyjechała na most, szeroki rozmawiał z szoferem, blada szesnastoletnia przylepiła twarz do szyby patrząc na rzekę.

– Wygląda na to, że jednak masz do mnie żal! – Jarosław ostro zwrócił się w moją stronę. O –to, że cię przytrzymałem? Może o coś innego? Może mój sposób bycia ci nie odpowiada? Może uważasz, że jestem na przykład wykolejony?

Odpowiedziałem, że może istotnie jest wykolejony, ale jest mi to zupełnie obojętne i nie mam w związku z tym do niego żadnych zastrzeżeń.

– A dlaczego myślisz, że jestem wykolejony? Może ja, na przykład, robię pewne rzeczy, bo mi to procentuje, rozumiesz, opłaca się? Albo może, na przykład, chciałbym, żeby mnie ktoś zatrzymał. Może sprawdzam, czy w ogóle ktoś mnie gdzieś zatrzyma, i myślę, że raczej nie. A może to, co robię, jest bardzo potrzebne różnym innym ludziom, żeby, na przykład, mogli utwierdzać się w swojej normalności, mieć gwarancję, że jak nie zaczną tak jak ja, to wszystko jest w porządku, oni są w porządku, nic im nie grozi. Ja jestem potrzebny jako firma, ale skąd wiesz, czy mnie to cieszy?

– Myślę, że cię to raczej cieszy – powiedziałem.

Popatrzył na mnie przez chwilę i potem roześmiał się. Szeroki spojrzał zainteresowany, blada szczipła nie odwróciła się, uważnie obserwowała pustą ulicę.

– Może, ale na pewno tego nie wiesz. Taksówka zatrzymała się przed jednopiętrową willą.

– No i jesteśmy. – Szeroki wyciągnął klucze. – Zapraszamy do środka.

Weszliśmy do hallu.

– Idźcie do mnie, na pierwsze piętro. Ja tylko pożyczę z dołu coś do picia. – Zapalił światło. Już wchodząc po skrzypiących schodach dojrzałem szeroki kominek, ogromne lustro i porozczesywaną na frędzle kotarę. W dużym pokoju na piętrze blada szesnastoletnia dziewczyna usiadła na szerokim tapczanie i policzki zaróżowiły jej się trochę, kiedy przeglądając zaczęła rozłożone tam „Paris Matche”. Usiadłem obok Jarosława, parę metrów dalej, na obitym skórą krześle. Jarosław zamknął oczy, wysunął naprzód nogi, wyraźnie bardzo zmęczony; musiał już sporo wypić. Z tapczanu połyskiwały karoserie samochodów, uśmiechy pań i panów, srebrzyło się w żółtym słońcu gładkie morze obok oślepiająco białych filtrów papierosów Kent. Potem wszedł szeroki z odkorkowaną butelką.

– No dobrze – ocknął się Jarosław – no dobrze. – Napełnił cztery kieliszki, spojrzał na szesnastoletnią przy „Paris Matchu”. – No to tak. Jest nas tu trzech, więc teraz zajmij się nami. W ten sposób zaoszczędzimy wszyscy na czasie, zyskując dwa dalsze indywidualne spotkania.

Szeroki roześmiał się trochę nerwowo.

– Normalnie. Od razu wiedziałam, że będziecie mnie załatwiać we trzech – powiedziała blada szesnastoletnia patrząc jeszcze raz na różową tym razem plażę. – No więc jak będzie?

– No i cóż, zaczynamy – powiedział Jarosław. – Może ty – spojrzał na mnie.

Dziewczyna siedząca na tapczanie podciągnęła spódniczkę odpinając podwiązki. Potem przez chwilę mocowała się z suwakiem spódniczki. Miała długie, ładne nogi, może tylko trochę za szczupłe. Potem posunęła się głębiej i uśmiechnęła, kiedy podszedłem do tapczanu. Uderzyłem ją w twarz, potem drugi raz, mocno, starannie. Poleciała do tyłu, zobaczyłem jej oczy ogłupiałe, przestraszone i po chwili już spokojne: – Rozumiem, to cię podnieca – uśmiechnęła się znowu. – Normalnie.

Odwróciłem się. Jarosław obserwował mnie uważnie.

– Ty, co jest? – złapał mnie za ramię szeroki. – Co jest? Co ją bijesz? Krzyku narobi. Coś taki nerwowo?

– Zostaw, to jest kwestia nastroju, rozumiem go – przytykając oczy wyciągnął się znowu na krześle Jarosław.

Zbiegając ze schodów zobaczyłem jeszcze raz w odwrotnej kolejności kominek, lustro, kotarę.

Telefon przyjęła matka Ewy. Oczekałem chwilę i odłożyłem słuchawkę, przerywając jej nerwowo skandowane pytania. Wyczułem, że nie lubi i trochę się boi takich milczących telefonów, i pomyślałem, że będę mógł to wykorzystywać częściej. W taksówce rozmawiałem z szoferem o pogodzie, doszliśmy do wniosku, że powinna się poprawić. Przed samym domem wpadłem na tęgawą blondynkę, sąsiadkę z góry, która przed godziną mignęła mi w głębi restauracji. Wysiadła właśnie z Syrenki z mężem, niewiele wyższym od niej, przygarbionym inżynierem, zapracowującym się na spłacenie rat za samochód, który kupili trzy miesiące temu, i ten samochód właśnie miał być momentem zwrotnym w ich życiu, miał zesnurować ten rozpadający się związek, zakończyć jej znikanie z domu, przenieść ich do innej sfery ludzi. Wprowadzili się do mieszkania nad nami dwa lata temu – tyle właśnie miało ich dziecko i gdzieś od roku zaczęło się dopytywanie inżyniera o żonę, wstydlive i smutne, a od paru miesięcy szukał jej ciągle i zwykle przywoził pod wieczór tą Syrenką, która właściwie nie zmieniła nic, nawet lekceważenia dozorczy domu.

– Jak mogłaś zostawić małego, jak mogłaś! Podtrzymywał ją, lekko chwiejącą się na nogach. – To ty miałaś wrócić do domu i posiedzieć z nim zaraz po biurze. Gdzie byłeś, no, mów gdzie? – roześmiała się. – Ładny z ciebie numer, ale to nie ze mną. Ja z nim siedzę od rana. Znalazłeś sobie bok, co? Lolite.

– Irka – ścisnął ją za rękę na mój widok. Inka, proszę cię. Dobry wieczór – spojrzał na mnie żałośnie.

Kiwnąłem głową i szybko wbiegłem na schody. – No, mów zaraz, gdzie byłeś – usłyszałem jeszcze jej głos z dołu.

W pokoju matki na końcu korytarza paliło się światło. Ojciec puścił u siebie płytę z Bachem. Była to jedna z ulubionych płyt matki. Ojciec demonstrował w ten sposób swoją kulturę muzyczną, dając do zrozumienia matce, jak bardzo go nie doceniała. Dzidki chyba na pewno nie było. Ojciec nie zdobyłby się przy niej na oczywiście kompromitujące podlizywanie się Bachem. Poza tym, z zasady, kiedy matka wracała na noc, Dzidka szła do rodziny. To był rodzaj umowy, chociaż wiedziałem, że parę razy ojciec przechował Dzidkę w pokoju, co zawsze Dzidce udawało się ujawnić, przez co przekreślała kompromisowe plany ojca. Zatrzymałem się przy telefonie, potem minąłem Bacha i wszedłem do pokoju matki. Rozjaśniła się podnosząc głowę znad biurka. Ładny, młody uśmiech odbijał od pomarszczonej, zwłaszcza przy ustach, twarzy. Zdjęła modne duże okulary, w których, wiedziała, że jej nie lubię, i położyła je na porożrzucanych maszynopisach. Pomyślałem, że czeka mnie teraz trudna, właściwie niemożliwa do odbycia rozmowa, i postanowiłem, że jej nie będzie. Pocałowałem matkę, usiadłem przy biurku i ciągle postanawiając nie poruszać tej sprawy palącej, okrążyć ją, wydobywać wszystko inne, odpowiadałem na jej pierwsze pytanie. Musiałem mieć jednak w sobie napięcie i może inne spojrzenie, bo kiedy wyjaśniłem, że nie napisałem tej recenzji, to znaczy nie skończyłem, widziałem

jej zaciskające się usta, ostrzejsze zmarszczki i mówiąc o kłopotach, wytrącających mnie zupełnie, czułem, że tej sprawy nie wyminę.

Siatka przy ustach matki wygładziła się trochę, kiedy mówiła, że Tomasz chciał mnie widzieć dzisiaj, że po ostatniej recenzji spodziewa się po mnie wiele, a ja nie mogłem się zdobyć na ucieszenie się tą pochwałą, wysłuchiwaną już dziś drugi raz, i wiedziałem, że równie nieprawdziwa jest teraz, ale wiedziałem też, że matka postanowiła w nią wierzyć i że w nią wierzy. Musiała jednak coś wyczuć, bo przerzuciła światło lampy stojącej na biurku na ścianę i teraz twarz jej wygładziła się prawie zupełnie, kiedy pytała, czy coś się wydarzyło. Potem milczała chwilę i zapytała, czy z Ewą. Kiwnąłem głową i wtedy: – Szkoda – przeciągnęła wolno – wielka szkoda. Miała na ciebie dobry wpływ. Ale czy to właściwie coś poważnego?

Powiedziałem, że raczej tak, myśląc teraz ciągle o sprawie, którą musiałem ominąć i której czułem, że nie ominę, powiedziałem, że może uciekła, a może wyjechała. Patrzyłem, jak matka bawiła się okularami, i potem od razu spytała, czy uważam, że mogła sobie coś zrobić. Szybko powiedziałem, że chyba nie. Matka chętnie potwierdziła to głową i powiedziała, że może wszystko da się naprawić, i dodała, że szkoda by było, ale że na pewno poszła albo pojechała kogoś odwiedzić. Potem wróciła do sprawy recenzji, a ja wtedy zacząłem dużo mówić o ostatniej nocy i rozmowie z Ewą – trochę, żeby się zagłuszyć, żeby zniszczyć w sobie jeden temat, i usłyszałem wtedy, że Tomasz lubi mnie bardzo, i musiałem odpowiedzieć ostro, że widzę to bardzo wyraźnie – bardzo wyraźnie, podkreśliłem – na co matka już nie kiwnęła głową, tylko patrzyła długo, potem, kiedy zapytałem, czy zamierza się rozwieść z ojcem, powiedziała: – O co chodzi? – Pytam tylko tak, myślałem, że może chcesz wpuścić na stałe tę małą. – Wykręciłem rozmowę w bok, ale ona powtórzyła: – O co ci chodzi?

Wtedy podniosłem się z krzesła, podszedłem do drzwi, odwróciłem się i powiedziałem, że po prostu zastanawiam się, czy zamierza wyjść za Tomasza i czy z nim o tym rozmawiała. A kiedy usłyszałem, że tak, że rozmawiała z nim i że jest gotów, usiadłem i roześmiałem się słysząc już po raz trzeci: – O co ci chodzi?

Kiedy pchnięta znowu przez matkę lampa oświetliła nas ostro, wyraźnie, spytałem, czy również dlatego jest gotów, że mnie tak lubi. Potem chwilę nie mówiliśmy nic i zdawała mi się, że jeszcze można całą sprawę zatrzymać, odwrócić, kiedy matka mówiła, że nie rozumie, o co mi chodzi, ale już wtedy zapytałem, czy naprawdę nie rozumie i że musiała chyba słyszeć od różnych ludzi różne pytania. Patem miałem chwilę wielkiej ulgi i wielkiej nadziei, kiedy wzruszyła ramionami, przyznając, że słyszała a tych idiotyzmach. Prawie uwierzyłem jej, że nic nie wie, kiedy powiedziała, że sam Tomasz ostrzegał ją o tych plotkach idiotycznych, ale nie mogłem znów nie zapytać, czy ona naprawdę w to nie wierzy. I dodałem zaraz, że możemy już o tym więcej nie mówić. Dodałem to z uśmiechem fałszywym, lekceważącym całą sprawę, ale nie zamierzałem wcale zostawić jej w tym miejscu, i wtedy nagle matka powiedziała: – A gdyby tak było, jak mówią? – I zdziwiłem się, że to nie zrobiło już na mnie żadnego wrażenia, widocznie musiałem przedtem mieć pewność, że wie.

– Więc gdyby tak było, jak mówią? – powtórzyła matka.

– Ale tak przecież nie jest? – powiedziałem wtedy.

– Ale gdyby było?

Patrzyła teraz trochę nade mną, zmrużyła jeszcze bardziej oczy.

– Gdybym się o tym dowiedziała już po wszystkim, po jakimś czasie, i gdybym chciała jednak godzić się na to, żeby ci pomóc, powiedzmy, żebyś mógł pisać? To jest maja i tylko moja sprawa.

– No, nieprawda – powiedziałem. – Oczywiście, że nieprawda. Właśnie teraz przekładasz ją na mnie, i to chyba niedobrze, bardzo niedobrze. To po prostu błąd z twojej strony.

– Więc idź, rzuć to pisanie, nie pisz więcej, nie kłaniaj mu się i mnie się nie kłaniaj:

Mogłem teraz powiedzieć, że nie wie jeszcze wszystkiego, dorzucić ostatnią sprawę – myślałem idąc w stronę drzwi – ale to było niepotrzebne i nic nie mogło zmienić. Po chwili podzi-

wiałem ją prawie, kiedy zawołała mnie, uśmiechnięta, mówiąc, że oczywiście jest to nieprawda. Czekala tylko na moje reakcje – ciągnęła dalej, uśmiechając się załośnie i jednak trochę niepewnie. I wtedy ja uśmiechnąłem się także, mówiąc, że oczywiście, że nigdy w to nie wierzyłem i że niepotrzebnie prowadziłem tę rozmowę. Potem usiadłem przy niej, wziąłem ją za rękę obiecując, że dziś jeszcze skończę tę recenzję, pocałowałem ją i wyszedłem z pokoju, wiedząc, że mi nie uwierzyła, co zresztą nie miało już teraz żadnego znaczenia, bo ona też musiała mieć pewność, że jej nie wierzę. Wyszedłem na korytarz, zobaczyłem, że jest jedenasta, znów spojrzałem na telefon, myślałem chwilę o Jarosławie i wtedy właśnie wychylony z pokoju ojciec, wyciszywszy Bacha, powiedział:

– Halo, synku, był telefon od jakiejś Ilony. Spojrzał przeze mnie w stronę pokoju matki, potem na mnie, chciał chyba o coś spytać, ale uśmiechnął się tylko niewyraźnie i cofnął się z powrotem do pokoju. Zrobiło mi się go trochę żal, ale uspokoiłem się zaraz, że na pewno wymyśliłem sobie jego przygnębienie. Nakręciłem numer i usłyszałem głos Ewy. – Tak – powiedziała po chwili bardzo spokojnie – słucham.

– Nie śpisz? – Nie.

– Jak się czujesz? – spytałem też już spokojnie.

– Zupełnie dobrze, czy coś się stało?

– Nic – powiedziałem – nic takiego. Szukałem cię.

– Wiem, mówiła mi matka. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale pomyślałam, że pewno śpisz i że wobec tego zadzwonię jutro.

– Ewa. Zaraz u ciebie będę.

Nie – powiedziała szybko. – Nie. Przyjedź rano.

– Zaraz będę! – Położyłem słuchawkę.

– No i cóż? Czy spędziłeś noc w towarzystwie tego bezsensownego Jarosława i jego kopulantek? Czy demonstrował swoje pozy ostatniego polskiego Rzymianina? I czy w ogóle celebrował czarną mszę?

Jana B. spotkałem po dziesiątej rano w centralnym punkcie głównej ulicy już po wyjściu od Ewy, po naszym wspólnym wyjściu, po tym, jak dwa razy zatrzymywałem się i skręcałem w stronę, gdzie poszła, potem znowu przystawałem, zawracałem i szedłem dalej główną ulicą w stronę domu, bo postanowiłem dziś skończyć recenzję.

– Ja spędziłem wieczór z subtelnym eseistą Sobieskim. Notabene jego ostatni esej o poezji romantyków wywołał ostrą polemikę w dwóch poważnych tygodnikach. Sobieski zastanawiał się, czy w ogóle podjąć dyskusję na tym poziomie, ale ostatecznie – mogę ci w sekrecie zdradzić, że szykuję ciętą ripostę w pewnym kwartalniku.

Ułożywszy twarz w wyraz pełnego aprobaty podziwu, co zupełnie wystarczało do podtrzymywania speechu Jana B., wymyślałem dalszy ciąg rozmowy z Ewą, potem wracałem do tych spraw sprzed paru godzin, kiedy po dwunastej otworzyła mi drzwi, przypominałem sobie naszą rozmowę i przeprowadzałem ją na różne sposoby szukając najwłaściwszego, potem przyglądałem się temu, co zdarzyło się naprawdę, ale nie byłem już zupełnie pewny przebiegu tamtej nocy, bo nakładały się i rozbijały jej ciąg historie wymyślone, lepsze i gorsze. Myślałem więc o tych ośmiu prawie godzinach, wyczerpujących strasznie, trudnych coraz inaczej, szukając w sobie odczuć prawdziwych, pewnych; musiałem teraz ocenić spokojnie, trzeźwo całą sprawę i czułem dla siebie dużo pogardy za niemożność wydobywania z siebie tej – oceny.

– Zaproponowano mi pracę w telewizji, w ogóle bardzo poważne stanowisko o, więc poszedłem tam na rozmowy. Spytałem mnie, czym zamierzam się zajmować szczególnie, odpowiedziałem, że oczywiście semantyką. Potem powiedzieli, że pensji wie będę miał wprawdzie specjalnie dużej, ale będę mógł dorabiać. Na to oświadczyłem, że rzecz jest bez znaczenia, gdyż potrzeby mam ogromnie skromne. I wtedy zobaczyłem, że patrzą na siebie z niepokojem.

Wracalem od nowa do tych slow pierwszych, kolujacych, niewaznych, w ktorych pochwalilem jej sweter i wlosy, co ona podjela rzeczowo, cieszac sie moja pochwala i zainteresowaniem. Potem chodzilam troche po pokoju i nagle szybko usiadlem przy niej na tapczanie, probowalem ja objac, przytulic, bo nagle poczułem w sobie wielka tkliwosc dla jej szczuplej twarzy i podkręzonych oczu. Probowalem ja objac, chociaz wiedzialem, ze to nie moze nic zalatwic, bo potem bedzie chwila nastepna, i chociaz od razu odsunela sie, wcale nie histerycznie, nie nerwowo, staram sie jednak wziac ja za reke, chociaz prosila, zebym przestal, wymawialem rozne slowa zapowiadajac nowe z nia zycie i czulem wielka niechec do siebie, bo nawet teraz nie bylem tych slow pewny. Potem pomyslam o sobie jeszcze gorzej i postanowilem wyjsc, ale nie wypuszczalo mnie jej obojetne odsuwanie sie i spokój, wiec szukalem nowych, belkotliwych slow, zanim odszedlem znów na krzeslo przy oknie. A ona nie mowila ciagle nic, tak ze wlasciwie rozmowa nie byla jeszcze rozpoczeta, i wtedy wlasciwe zapytalem, gdzie byla caly dzien, a ona wzruszyła tylko ramionami, bo to rzeczywiście nie moglo juz byc wazne.

– Zaproponowano mi, zebym przygotowal swój pierwszy speech i podpisal na razie umowe. Na co odpowiedzialem, ze moge podpisac dowolna ilosc umow, ale póki nie zostane powaznie zaliczkowany, nie napisze oczywiscie nic.

Patem powiedzialem, ze dzwonilem do jej pierwszego meza, i kiedy uslyszałem, ze byla wtedy u niego, u niego, ale z kim innym, zaczalem prawie krzyczec. Wówczas wlasciwe powiedziala o swojej matce, ze dlatego chciala porozmawiac rano, zeby pozbawic ja tej satysfakcji, i ze ta rozmowa jest zupełnie niepotrzebna, bede musial wycofac stad pare swoich rzeczy, poniewaz ona zamierza matce zostawic mieszkanie, a sama sie wyprowadza. Ale ja krzyczalem dalej, pokazujac, ze matki sie nie boje, i jednoczesnie zastanawialem sie, co robic. Szukajac w sobie decyzji poszedlem szybko w strone drzwi, chociaz wiedzialem, ze nie wyjde, i mialem tylko pare krokow, po ktorych musialbym zatrzymac sie bezradnie i glupio. I kiedy po chwili Ewa zawolala mnie, poczułem najpierw wielka wdziecznosc. Tlumaczyła, dlaczego nie moze byc ze mna, dlaczego nie stac ja na mnie, mowila ciagle bez zalu, smutnie, rzeczy na ogol prawdziwe, w ktore nie chcialem teraz wierzyc czujac znów wzburajaca we mnie wielka tkliwosc, kiedy mowila, ze odchodzi tylko dlatego, ze ja od niej nie odejde. I teraz wiedzialem, ze to juz nie jest z jej strony gra, ze odejdzie i ze to sa slowa ostatnie, do czego dopuscic nie moge, w kazdym razie nie w tej chwili, i zaprzeczalem sobie, kiedy ona przyznawala mi racje, zapewniala o prawdziwosci mojego spojrzenia. Mowila, ze to i tak byla sprawa czasu, a mnie draznily, niszczyly swoja plaskoscia te oddawane mi teraz moje własne slowa i znów musialem spróbować ja objac, śmiesznie opadajac na tapczan, gdy sie odsunela. Chcialem jej tez powiedziec o moich wszystkich dla niej rezygnacjach, o Ilonie, o Jaroslawie, ale to byloby tylko glupim potwierdzeniem jej slow. A ona zaczela opowiadac o tym znajomym architekcie nie tak, zeby wzburzac we mnie zazdrosc, ale jakby zwierzajac sie i proszac o rade. A ja uwierzylem jej od razu, bo opowiadala inaczej niz zwykle, chociaz udawalem, ze nie wierze. Sluchalem uwaznie, kiedy mowila, ze spotyka sie z nim juz od dwuch tygodni i teraz przenosi sie do niego, beda razem pracowac, ze on przede wszystkim chcial, zeby wyprowadzila sie od matki, dlatego wspomniala o moich rzeczach, ktore powinienem zabrac, z czym zreszta nie ma pospiechu, wyjasnila, ze nie chciala mi o tym mowic, ze w ogole miala mi to powiedziec bezposrednio po imieninach, na ktorych on tez byl, ale nie powiedziala, a ja zlapanem sie teraz tego wieczoru, glupio wysmiewajac przystojnego czterdziestoparoletniego architekta, z czym ona zgadzala sie, dodajac znowu, ze zrozumiala, ze na mnie ja nie stac. Potem mowilem, ze jej nie wolno, ze dobrze wie, ze jej nie wolno, ze nigdy tego nie robila. Usiadlem na podlodze obok tapczanu, opuscilem nisko glowe i po dlugiej chwili poczułem wreszcie jej reke; przez chwile siedzialem dalej nieruchomo, zanim objalem ja mocno, przycisnalem, i teraz juz nie wrywala sie i juz wiedzialem, ze wszystko zostanie jak dawniej. Wiedzialem, ze wygralem, kiedy nie opierala sie zupełnie, i potem lezalem obok niej ciagle obejmujac ja mocno. Ale robilem juz wtedy to, co teraz, to znaczy szukalem w sobie roznych odczuc, i znowu czulem do siebie wielka niechec za bezradna, glupia plaskosc.

– ...I wtedy oświadczyli mi w telewizji, że te sprawy zaliczkowe muszą uzgadniać. Wtedy nadałem się niesłuchanie i opuściłem ich. Oczywiście, szło tu w ogóle o śmieszne sumy. No, ale muszę pędzić; na jedenastą eseista Sobieski wyznaczył mi spotkanie, przedtem chciałbym jeszcze powirować w „Snobie”. Numer specjalny miesięcznika ukaze się już niedługo, więc eseista musi się skoncentrować przed kolejnym poważnym sukcesem. Notabene eseista przygotowuje bardzo snobistyczny wieczór autorski.

Jan B. rozluźnił jeszcze bardziej krawat i skręcił w stronę kawiarni elitarnego wydawnictwa. Szedłem dalej w stronę domu i widziałem wyraźnie, jak Ewa wstaje, ubiera się, a ja ciągle nie podejrzewałem zakończenia. Patrzyłem na nią ufnie, kiedy powiedziała mi, że sytuacja się nie zmieniła, ale że chętnie będzie się ze mną spotykać. Znowu rozpoznałem swoje słowa i myśli, i wtedy chciałem ją uderzyć, ale nie zrobiłem tego, nie czułem zresztą prawdziwego oburzenia, tylko wielkie zmęczenie, więc ubierałem się też, bo wiedziałem, że decyzja już zapadła, dlatego nie mówiłem ciągle nic. Razem wyszliśmy z mieszkania, ale ja nie wziąłem swoich rzeczy, co było oczywiście śmieszne, ale zostawiało mi jakąś możliwość powrotu, tak w każdym razie myślałem wtedy. Kiwnąłem głową, kiedy prosiła, ażebym zadzwonił, nie zagryzał się, tylko pracował, żebym to jedno dla niej zrobił, i niepotrzebnie, długo, teatralnie pocałowałem ją w rękę. Patrzyłem za nią trochę, potem odwróciłem się i szedłem prosto, jeszcze dwa razy zatrzymywałem się, zawracałem za nią, ale zaraz stawałem i szedłem z powrotem. Później myślałem, ile znowu mam dziś przed sobą czasu, a jeszcze później, od paru minut, już po odejściu Jana B., nie myślałem o niczym.

Przed domem dopiero po kilku okrzykach: „Proszę pana, proszę pana!”, zatrzymałem się i słuchałem, jak zażenowany sąsiad z góry prosi mnie o dyskrecję. „Bo wie pan, ludzie sobie pomyslą Bóg wie co, a ona nie jest zła i kocha mnie naprawdę” – mówił patrząc na mnie żalonym, psim wzrokiem, i że w ogóle to zdarzyło się pierwszy raz – wołał prawie, kiedy wchodziłem już po schodach.

DOCHODZENIE

– Ciekawe, która to już jest godzina. – Odczekała chwilę, podniosła się z tapczanu, spojrzała na stojący na wymyślnej szafce między telewizorem a magnetofonem, opatrzony dużą ilością małych tarcz i kolorowych guzików budzik. Wracając zobaczyła szerokie plecy męża, jego równo przystrzyżone nad szyją włosy. – No i już dziewiąta piętnaście. – Uśmiechnęła się w stronę pochylonego do przodu Andrzeja, pomniejszonego jeszcze przez opuszczenie ramion.

Andrzej kiwnął głową i patrzył dalej w stronę okna. Paweł odwrócił się z fotelem. Siwe, falujące włosy rozdzielał staranny przedziałek. Rozluźnił nieco kołnierzyk koszuli. – Bardzo ciepło uśmiechnął się.

Andrzej pomyślał, że Paweł uśmiechnął się bardzo naturalnie, i poczuł dla niego przez chwilę coś w rodzaju uznania. Ale za chwilę wiedział już, że to nie odbiegało znów tak bardzo od jego przewidywań. Splótł mocno dłonie, wyłamując palce. – Denerwuje cię to? Przepraszam. Zapomniałem.

– Nie – powiedział Paweł. Przeciągnął się w fotelu. – Oczywiście nie. Tylko, rozumiesz, mam dziś bardzo dużo pracy.

– Oczywiście – przerwał mu Andrzej. – Oczywiście. Już zaraz lecę. Dosłownie za parę minut. Poprawił wyłożony kołnierz flanelowej koszuli. Nawet na pewno siedzę u was za długo, tyle że mówił teraz szybko – nie widziałem was bardzo dawno, przeszło rok, więc może, gdybyś jednak spojrzał na brata przepraszająco – Wanda, zrobiła mi ewentualnie herbaty, byłbym ci wdzięczny.

Paweł poruszył się niespokojnie, ale zaraz uśmiechnął się do żony, która spojrzała na niego i poszła w stronę kuchni.

– Wanda pięknie wygląda – Andrzej uważnie obserwował Pawła. – Ciągle bardzo pięknie.

– Rzeczywiście tak myślisz? – Paweł podniósł się teraz trochę za nerwowo, czego by nie spostrzegł ktoś obserwujący go mniej uważnie niż Andrzej. Przeszedł po puszystym dywanie, stanął przy oknie i odsunął ciężką, szczelną kotarę, zasłaniającą szerokie okna. – Może zresztą masz rację – poszedł znów w stronę fotela – ale... Machnął ręką. – Powiedz raczej, co u ciebie słychać. Niezupełnie dokładnie cię słuchałem. Chyba nie masz o to, stary, żalu. – Położył mu na chwilę rękę na ramieniu i zaraz odwrócił się. Już znowu przy oknie powiedział słowa, na które Andrzej czekał prawie dwie godziny. Właściwie niezupełnie te słowa i niezupełnie tak je powiedział, ale Andrzej naprężył się wewnętrznie i musiał chwilę odczekać, zanim zupełnie spokojnie powtórzył za Pawłem: – Jesteś zdenerwowany? Masz może jakieś kłopoty? No, prawdę mówiąc, wyglądasz rzeczywiście na trochę zdenerwowanego. – Splótł dłonie szukając najlepszego, najcieńszego sposobu rozpoczęcia zasadniczej sprawy. Ze złością pomyślał, że ma wilgotne dłonie, i spróbował wyobrazić sobie, że przyszedł tu w zupełnie innej sprawie, na przykład żeby powiedzieć bratu coś zupełnie obojętnego, albo że na przykład wygrał jakąś dużą sumę, albo że gdzieś wyjeżdża. I nawet przez chwilę chciał zacząć mówić o swoim wyjeździe, wycofać się z tej sprawy, potem napić się jeszcze herbaty i wyjść. I – zaraz usłyszał swój głos, trochę zachrypnięty, zmieniony, pytający Pawła, jak idą mu wykłady chirurgii na akademii, splótł jeszcze mocniej dłonie i ucieszył się, że już nie słyszy tego głosu, ale znowu za moment na spokojną wyważoną odpowiedź Pawła powiedział, zaskakująco ostro: – Słyszałem, że macie kłopoty z Rogerem.

Patrzył teraz na zatrzymanego w ruchu po pokoju Pawła, i powróciła tamta rozmowa sprzed piętnastu chyba lat. Zastanowił się, czy Paweł miał wtedy pewność, że on niczego się nie spodziewa, kiedy tak jak teraz chodził po pokoju, a wysłana do kuchni Wanda przygotowywała herbatę. Paweł krążył wtedy po pokoju napięty, przygotowując się, ale zanim zaczął mówić, Andrzej przewidział już cały przebieg rozmowy i jej zakończenie i obserwował brata, starszego o lat dziesięć, w którego ciągle wierzył, ze współczuciem prawie, z tkliwością nad nim, jego zadaniem trudnym i okrutnym. Więc wtedy sam przerwał mu po paru słowach wyrozumiale, krzepiąco i zobaczył w oczach Pawła wielkie zdumienie i wdzięczność. Potem mocno uściskał wyciągniętą rękę i wybiegł szybko z mieszkania. Ale pozostał mu uścisk Pawła i przypominał go sobie długo. Rozbierając na części ułamki gestów, pieścił jego uznanie. Robił to potem bardzo często i jak najdłużej, bo to zacierało mu obraz Wandy, odsuwało przypomnienie spotkań następnych i rozmów poprzednich, które po latach dopiero zaczął łączyć. Rozmów poprzednich z Pawłem, krążącym po pokoju w wojskowych butach i grubej skórzanej kurtce, i z przytakującym mu, skurczonym na tandetnym krześle ojcem, kiedy zaraz po wojnie przyjął ich obu do pokoju wykombinowanego w Wilanowie. Przyjął ich obu – barczystego szerokiego brata, dudniącego skórzanymi błyszczącymi butami, w których wyszedł z powstania, i zmęczonego chorego ojca, przyjął, chociaż mieszkał wtedy z Wandą dopiero miesiąc i już słuchał surowych słów Pawła o niemoralności. Słuchał wtedy ufnie, nienawidząc się prawie za niezdolność do wykonania zaleceń brata, przepraszał go wzrokiem smutnie zamglonym. Patrzył na chmurnego, zasłużonego brata tym samym spojrzeniem, jakim patrzył na Pawła ojciec, też za młodszego syna przepraszając.

Wanda, pomagając sobie nogą, otworzyła drzwi – niosła lekką tackę z trzema filiżankami herbaty. Andrzej poczuł znów swoje wilgotne dłonie, potem usłyszał, jak Paweł mówi do Wandy, że Andrzej już to wie, i uświadomił sobie, że przed chwilą Paweł Wandę zawołał. Obserwował jej zdziwioną, niedowierzającą, potem złą twarz, i teraz znów mówił wypytyując, czy coś zrobili, czy próbowali syna wyciągnąć, kołował usiłując zapanować nad głosem. Patrzył ciągle na Wandę zgrabną, długonogą, w obcisłym, modnym kostiumie, słuchał wyjaśnień Pawła, że za późno się dowiedzieli, dopiero rano, kiedy sankcja już działała, i że oczywiście próbował, ale dodatkowy pech, bo właśnie wyjechali – tu wymienił dwa imiona, po namyśle wyrozumiale dodając nazwiska, zanim wreszcie zatrzymał się, osłodził herbatę, siadając obok Wandy, opartej o ścianę, z wyciągniętymi na tapczanie nogami, jeszcze wydłużonymi przez krótką spódnicę. Wtedy zapytał: – Dlaczego nie powiedziałeś od razu, że wiesz?

Ale teraz Andrzej odezwał się już łatwiej, bo miał ten fragment przygotowany, na razie więc wydobył na wierzch to, że chciał zaczekać, aż oni mu powiedzą. Potem jeszcze dał do zrozumienia, jakie to było przykre, że mu nie powiedzieli. A oni obserwowali go czujnie, ale potem wyczuł, że roztopia, rozbija ich nieufność, że rozmowa zatacza łuk w bezpieczną stronę. Teraz miał jeszcze ostatnią możliwość, żeby nie mówić więcej, tylko okazać im współczucie, na przykład mocno Pawłowi uściskać rękę, i zastanowił się, czy właśnie na to nie ma największej chęci. Mógł też po prostu wyjść nagle, szybko, i przez chwilę myślał, jak by to przyjęli, obserwując, jak Paweł klepie żonę po rękę, ciepło mówi jej, że sprawa nie jest jeszcze zakończona, i powtarza, na pewno któryś już raz, że nigdy nie uwierzy, żeby Roger mógł to zrobić, że owszem, uderzyć, tak, nawet otworzyć samochód też może mógłby, ale zgwałcić nigdy, i że na pewno poszedł z ciekawości z tamtymi dwoma, ale nie brał udziału. Paweł patrzył teraz na Andrzeja i wyczekując jego potwierdzenia, dodał jeszcze, że to chyba zrozumiałe, że nie chciał mu po roku przeszło niewiedzenia mówić o takiej sprawie, którą jeszcze może da się przyciszyć. Zatrzymał się i dodał, że nigdy by nie próbował interweniować u tych wymienionych przedtem z imienia i nazwiska, gdyby oczywiście nie miał pewności, że Roger tego nie zrobił. Powiedział to z tą nową ostrożnością, którą Andrzej poznał w nim dziesięć chyba lat temu, kiedy Paweł pracował w szpitalu w Warszawie, już po skończeniu medycyny, a on odwiedził go opowiadając o swoich pragnieniach, bo wtedy pracował już mniej i chciał właśnie zdawać na zaoczne studia na uni-

wersytecie. Paweł miał wtedy mniejsze mieszkanie, ale też błyszczące, puszyste dywanami. Wandy nie było, bo wyjechała z synem nad morze, a Paweł kluczył nie proponując mu zatrzymania się, chociaż właśnie Andrzej o swoim bezskutecznym poszukiwaniu mieszkania opowiadał prawie wesoło. Paweł więc tłumaczył, że nie może mu pomóc, mimo że Andrzej wiedział, jakich ma znajomych, a kiedy ich wymienił, wykręcił się, że sam ich zachowuje na czarną godzinę. Potem dużo, życzliwie wypytywał, Andrzej zaś odpowiadał patrząc na niego już bez tkliwości, bo było przedtem parę lat, kiedy mu posyłał pieniądze na studia, i było dziecko Pawła z Wandą, i ojciec chory, mówiący o Pawle zawsze uroczystym głosem, wierzący w niego surowo, całkowicie, aż do końca.

Przypominał to sobie pospiesznie, jak najdokładniej, jak najostrzej, łącząc wszystkie historie, przyglądając im się na nowo. Wytarł dłonie o spodnie i teraz mógł już zacząć mówić przygotowane, zaokrąglone zdania, i nareszcie usłyszał swój głos mówiący już teraz sprawie z ulgą o tym, że wiedział, że Roger tak skończy, i że miał nadzieję, że tak skończy. Mówił nie zwracając się do Wandy, tylko do brata, tłumacząc się teraz z tych słów niespodziewanych, mówił o ostatniej, jedynej możliwości porozumienia, dotarcia do niego, Pawła, brata dawniej ukochanego, poprzez zrozumienie sprawy Rogera, bo tylko wtedy można było do Pawła dotrzeć, bo on innym głosem o swoim synu mówił, z inną twarzą więc to jest właśnie może odkupienie – mówił przyglądając się jednocześnie swoim słowom, wypowiedzanym za mało żarliwie, przygotowywanym za długo. Czuł ich sztuczność i sam się zastanawiał, czy w nie teraz wierzy. Widząc twarz Pawła, ciągle spokojną, uśmiechniętą, zaprzeczał ukrytej za tym uśmiechem pewności brata, że mści się głupio i obrzydliwie, pewności, która uwyrażniała uśmiech Pawła, za którą siedział bezpiecznie, trzymając spokojnie rękę Wandy. Właśnie wtedy Wanda przerwała Andrzejowi, wypowiadając myśli Pawła, wyrwała mu rękę pokazując drzwi, „ty obrzydliwy gnoju”, „jazda stąd, jazda!” – krzyczała, kiedy Paweł znów przytrzymując ją za rękę mówił, że wszyscy jesteśmy zdenerwowani sytuacją, i przeproszał Andrzeja ciągle z tym samym uśmiechem, czując wielką wdzięczność dla Wandy, bo wyzwoliła go, poważnego, szpakowatego, eleganckiego, od tych słów. Powtórzył więc, że wszyscy jesteśmy zdenerwowani, a ponieważ Wanda przestała już krzyczeć, tylko wyszła wolno z pokoju, Andrzej powiedział, że nie jest zdenerwowany, to znaczy – właściwie jest, ale że chciałby coś jeszcze Pawłowi powiedzieć. A Paweł odprowadzając Wandę wzrokiem dodał, że nigdy nie przypuszczał, aby to odejście Wandy Andrzej tak przeżywał, ale że on, Paweł, też tę sprawę przeżywał i że Wanda też przeżywała. Pokiwał głową dodając, że Andrzej nawet sobie nie może wyobrazić, jak ona to przeżywała, ale że w sumie on, Paweł, wybacza Andrzejowi wszystko. I wtedy Andrzej powiedział jeszcze to, o czym przedtem myślał, o chorym ojcu i o pieniądzech wysyłanych Pawłowi, o swojej pracy i rezygnacjach, a potem słyszał Pawła wyjaśniającego swoją trudną sytuację w tamtych latach, ale że teraz gotów jest Andrzeja słać, i proszącego, żeby o sprawie syna nie mówił nikomu, bo to może jeszcze uda się jakoś załatwić.

Więc Andrzej już nie mówił o pogrzebie ojca ani o innych nagromadzonych własnych sprawach, tylko przeszedł znów do Rogera, podkreślając jego podobieństwo do Pawła, bo tu czuł pewną miękkość, słabszy opór, ale nie mógł przedostać się przez uśmiech Pawła, dlatego przeszedł do jeszcze jednej, ostatniej sprawy, której poruszać nie zamierzał, ale teraz wykladał ją łatwo i już prawie obojętnie. Ciągnął historię, w jaki sposób Paweł został ordynatorem, opowiadając swoją rozmowę z dziennikarzem, który miał nawet pisać o tej sprawie, ale potem z tego zrezygnował, mówił wszystko, wyciągając szczegóły i jakby się nad nimi zastanawiając, aż wreszcie Paweł roześmiał się, za głośno nareszcie, i zaprzeczył, ciągle śmiejąc się, zaczerwieniony jednak, napięty, śmiał się na wejście Wandy, zanim zaczął mówić, jak nisko, jak bardzo nisko upadł jego brat i że postanowił jednak w tej sytuacji – podniósł się, obejmując Wandę – postanowił powiedzieć swojemu bratu wszystko o Rogerze, całą prawdę. Przerwał, przetarł oczy, potem zaczął i znowu przerwał, i potem już powiedział płynnie parę zdań, na które teraz roześmiał się Andrzej mówiąc: Kłamiesz, głupio kłamiesz – ale też miał już teraz inną twarz,

nabrzmiała, trochę nawet podobną do Pawła, kiedy Wanda spokojnie potwierdziła, że tak, to był jego, Andrzeja, syn, to znaczy ich syn, o czym Paweł wiedział od początku. Mówiła patrząc na Andrzeja, widząc jego przygarbienie, zaplecenie rąk, zapadanie się, myśląc o rozmowie tamtej sprzed kilkunastu lat, której nie przeczuwała, nawet i o tym, jak na trzask zamykanych drzwi wbiegła do pokoju dowiadując się wszystkiego od Pawła, jak najpierw chciała wybiec za Andrzejem i jak Paweł ją zatrzymał, ale nie mówiła tego wszystkiego, wymieniała tylko daty uważnie, dokładnie, patrząc nad Andrzejem w stronę drzwi, nie widziała, podobnie jak wtedy, jego wyjścia, tylko znów usłyszała trzaśnięcie drzwi.

– Dziesiąta piętnaście – spojrzał na zegarek Paweł i roześmiał się już inaczej, z ulgą, dziękując Wandzie za to kłamstwo, upokorzenie tamtego robaka, i pomagając jej sprzątać filiżanki na miniaturową tacę powiedział jeszcze, że za parę minut zadzwoni do Andrzeja, żeby go pocieszyć i poinformować, że to nieprawda. A kiedy Wanda odniosła już tacę, usiadła w fotelu i zapaliła małą lampkę obok tapczanu, zastanawiał się znowu nad swoim bratem, dziwiąc się jego zapamiętałości, potem zadzwonił do adwokata i nie zastał go w domu, uśmiechnął się do Wandy i usłyszał, żeby do Andrzeja jednak więcej nie dzwonił, bo ona powiedziała mu przed chwilą prawdę. Wtedy znowu uśmiechnął się, pogłaskał ją po włosach mówiąc o trudnym dniu i zdennerwowaniu, a Wanda stojąc przy drzwiach powtórzyła mu te same słowa spokojnie, wyraźnie, na co Paweł niecierpliwie, ze złością zamachał rękami i powiedział, że dobrze, dobrze, oczywiście, skoro chce tak, to dobrze, ale żeby już była uprzejma nie wracać do tej sprawy, że bardzo mu na tym zależy, na co Wanda się zgodziła. Powtórzyła jednak znowu, żeby raczej nie dzwonił do Andrzeja. – A zresztą, jak chcesz dodała jeszcze, idąc w stronę sypialni i czując na sobie jego napięte, uważne spojrzenie. Wyczuwając już jego niepewność obejrzała się jeszcze; zanim zamknęła drzwi.

VOLVO DLA MOUSE-KILLERA

I

– Kiedyś zaprosiła mnie do siebie znajoma Polka, dwadzieścia lat temu, po moim przyjeździe tutaj, pokazała mi obrus i popielniczkę, a obrus miał identyczny wzór co popielniczka – mówiła Marika, okrągła, siwiejąca właścicielka willi, położonej w ekskluzywnej dzielnicy Sztokholmu, który nie był miastem ani dużym, ani ładnym, przypominał miasta niemieckie. Bo tutaj ogromna zamożność nie była zbyt efektowna na zewnątrz, domy secesyjne, sztywne, parę tylko białych wysokościowców, a największy chyba to przedstawicielstwo Forda. Ładne były natomiast te elitarne dzielnice, daleko od centrum, właściwie za miastem, gdzie mieszkało mieszczaństwo bogate, arystokracja przeredzona i artyści. Dostaliśmy się tutaj samochodem męża Mariki, Rogera, pięćdziesięcioletniego kuśnierza, który posiadał dwa spore sklepy w centrum i dwa mniejsze na peryferiach, futra sprowadzał z Rosji, wyprawiał w Austrii, a sprzedawał w Szwecji. Przepisnęliśmy się przez główne ulice zablokowane wielkimi, starymi wozami Ragare, czyli szwedzkiej młodzieży zbuntowanej. Posuwali się nimi w kółko w amerykańskich wozach tak wolno, że można ich było pieszo wyminąć. Obejmowali w tych samochodach dziewczęta sposobem podpatrzonym na okładkach magazynów, żując gumę wskazaną przez magazyny, ubrani w wymyślony przez magazyny uniform młodzieży gniewnej, który mogli nabyć, tak jak te samochody, w damach towarowych i garażach z napisem „Ragare”, gdzie można całą gniewność kupić. Przepisnęliśmy się z trudem, bo Ragare zataczali krąg ścisły, ponieważ była sobota i Wigilia. W niedzielę było ich zawsze mniej, bo w poniedziałek chodzili do pracy wcześniej rano, a w pracy na gniewność miejsca nie było.

– Zrozumiałam to i zaprosiłam ją do siebie dopiero wtedy, kiedy ja też miałam taki sam wzór na obrusie i popielnicze.

Szliśmy teraz wolno po salonie superkomfortowej willi znajomych Roberta, a właściwie znajomych jego rodziców, którzy kiedyś, w czasie okupacji, obecnym kuśnierzom pomogli i Robert liczył, że oni teraz rozumieją naszą ciężką sytuację, bo Szwedzi nie mieli skojarzeń żadnych. Dreptaliśmy wzdłuż ścian, gdzie na wyrafinowanych drewnianych półkach stały długim rzędem wielkie wazy, lśniące solidną politurą, obok chyba bardzo młodych antyków pomiędzy posągami z gipsu mężczyzny i kobiety naturalnej wielkości w strojach kąpielowych i cepeliowskim kogutem. Szliśmy krok za krokiem najpierw tylko pani domu, Roger, Robert, Sobiesław i ja, potem dołączało do nas coraz więcej gości: pani Freda, najgłośniej, najostentacyjniej podziwiająca wazy, paru Szwedów, współników kuśnierzy, i córka małej, wysuszonej pani Fredy, podhodowana na sokach i witaminach, długonoga, może trochę za szeroka Anna, która wkrótce z synem gospodarzy, siedemnastoletnim Harrym, zamerykanizowanym posiadaczem garnituru w kratę i długiej fajki, przeniosła się na górę. My zaś chodziliśmy dalej prowadzeni przez superlampę, dającą światło reflektorowe w pięciu kolorach. W pokoju zaś obok, połączonym z salonem rozsuwanymi drzwiami, uruchamianymi przez naciśnięcie guzika, błyszczał bielą obrusa i srebrem zastawy stół wigilijny, zatłoczony półmiskami, upychanymi ściśle przez służącą Hiszpankę świątecznie przystrojona, która już przedtem umieściła w centrum standardową cho-

inkę. Marika zaś kolejno przystawała przed półkami, wyczekująco patrząc na nas, a my niezawodnie, układowo chwaliłiśmy wszystko, oczekując niecierpliwie momentu zbliżenia się do stołu, a na razie układając różne plany jak najpełniejszego wykorzystania tego wieczoru, wyciszenia wszystkich możliwości, niezaniechania niczego, co mogłoby naszą sytuację posunąć do przodu, pchnąć nas we właściwym kierunku. Myśleliśmy o tym w świetle pięciokolorowej lampy, palącej się teraz kolorem szkarłatnym, w którym nasze zadanie rysowało się znacznie bardziej prawdopodobnie niż w ostrym świetle dnia, po raz pierwszy niemal realnie – od czasu kiedy miesiąc temu wysiedliśmy na sztokholmskim dworcu.

– A tę wagę dostałam właśnie od Fredy uśmiechnęła się serdecznie Marika.

– Bardzo piękna – powiedział szybko Robert. – Bardzo piękna i stara.

Oczywiście najwięcej do wygrania miał Robert. Właściwie, prawdę mówiąc, tylko dla niego ten wieczór mógł oznaczać prawdziwy początek. Ani moja rodzina, ani Sobiesława nie pomogła, niestety, gospodarzom willi w czasie okupacji. Ale zielone teraz światło lampy, usypiając przyjemnie, sprzyjało marzeniom.

– Tak – rzuciłem pospiesznie w wyczekującą przerwę, orientując się, że Sobiesław wydobył już pochwalny bełkot. – Tak, istotnie, jest ogromnie piękna, powiedziałbym: wyjątkowo. – Z masochistyczną przyjemnością delectowałem się głupotą swoich wypowiedzi.

Teraz wtrącała się pani Freda: – Zaproszę was do siebie. Też mam parę ładnych antyków. Ale oczywiście – uśmiechnęła się z fałszywą skromnością – nie to, co tutaj.

– Ależ, Fredo... – zaczęła Marika.

A ja, obserwując ogłupiałe spojrzenie Sobiesława skierowane w stronę stołu, wróciłem znowu do tamtej chwili sprzed miesiąca, kiedy po oddaniu rzeczy do przechowalni szliśmy główną ulicą Sztokholmu obok siebie środkiem chodnika w jasnym świetle wczesnego dnia tak pewnie, zamaszyście, że usuwano się nam z drogi, w porozpinanych kożuszkach, podkreślających jeszcze naszą zdobywcą niedbałość. Sobiesław – najniższy, ale za to najszerszy, nisko nad czołem zarosnięty, inżynier elektryk – podciągnął wtedy nieco na biodrach gruby wełniany sweter, eksponując swoją bardzo męską budowę, stanowiącą o jego popularności w Warszawie, na które to walory bardzo liczył, przewidując, że w niedługim czasie stanie się przedmiotem kultu autochtonek, z czego coś niecoś spłynąć miało i na nas, bardziej znormalizowanych.

Dwie godziny wcześniej wysiedliśmy z pociągu i wtedy Robert, absolwent ekonomii, studiujący dodatkowo filologię angielską, wciągnął głęboko powietrze i powiedział, że pachnie Zachodem, podobnie jak w samochodzie Anglików, których pilotował w Polsce. Potem poszedł dzwonić do znajomych ojca, piastującego w kraju odpowiedzialne stanowisko w zakładzie naukowym. Oni to zapewnić mieli jemu i Sobiesławowi mieszkanie, dobrze płatną, przyjemną pracę, szybkie kupno samochodu i zdobycie kilkudziesięciu Szwedek, które właśnie mijaly nas z lewej i prawej w spódniczkach mini. Z tego ewentualnie część spłynąć miała na mnie, a w każdym razie umożliwić mi spędzenie panu tygodni na północny zachód od kraju, co w innych warunkach byłoby niemożliwe. Znajomi Szwedzi, których Robert obwoził Wartburgiem ojca po Polsce, jak się okazało, opuścili Sztokholm na parę dni, co znacznie zmniejszyło nasze szanse na wspólne mieszkanie i w ogóle mieszkanie. Robert zadzwonił więc do znajomego następnego, także absolwenta ekonomii, i ten obiecał mu nocleg, wprawdzie na korytarzu w zaadaptowanej piwnicy, zamieszkałej przez trzech Algierczyków i Turka, ale na razie wydało nam się to dowcipne. Więc nie tracąc jeszcze humoru szliśmy dalej, ciągle na siebie licząc, oglądając ociekające seksem wystawy, na których w najrozmaitszych pozycjach, mniej lub bardziej skutecznie zebrane, spoglądały z okładek magazynów pary męskie, damskie, rzadziej mieszane, gdzie błyszczała lakierowaną okładką oficjalny organ homoseksualistów „Amigo”, książki proponujące zależnie od ceny sto dwadzieścia, sto czterdzieści lub sto sześćdziesiąt pozycji i fotosy reklamujące filmy pornograficzne, wyświetlane w dwóch kinach w centrum miasta, prezentujące mężczyzn rozebranych całkowicie albo w nausznikach i z książką w rękę, w pełnej gotowości,

przed którymi to zdjęciami zamyślił się chwilę Sobiesław. Postanowiliśmy potem, że warto by już zapewnić sobie nocleg.

Z pierwszego piętra doszedł ostry wybuch śmiechu. Obeszliśmy już cały salon dość dokładnie, automatycznie wypowiedziałem kolejny osąd, wchodząc tym razem w słowa Robertowi, a wyprzedzając Sobiesława, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że powróciłem już całkowicie do rzeczywistości.

– A Robert mógłby mieć dobrze! Robert jest słodki chłopak – powiedziała Marika. – Mógłby mieć dobrze, gdyby został mu na dłużej albo na jeszcze dłużej.

Potem sprowadziła nas do piwnicy, która właściwie nie była piwnicą, ale pomieszczeniem luksusowym, pokazała nam kombajn do prania, do zmywania i do suszenia, lśniący przyjemnie zsymp do śmieci, powtórzyła, że Robert jest słodki chłopak i że mógłby mieć dobrze, po czym znaleźliśmy się znów na górze i jajowato, pocziwie zaokrąglony Roger rzucił wreszcie hasło do siadania do stołu, do którego ruszyliśmy całą grupą i po celebrowanym dobieraniu miejsc, oszołomieni możliwością nasycenia się, opadliśmy na krzesła. Ja miałem z lewej strony Marikę, z prawej Sobiesława, obok którego siedziała długonoga Anna, która przed chwilą wraz z Harrym zeszła po drewnianych schodach z pierwszego piętra i teraz wywoływała z pamięci znajome polskie zdania, uśmiechając się w stronę ponuro i zachłannie patrzącego na nią Sobiesława.

– To wiek XVIII. – Marika stuknęła zgiętym palcem w efektownie modelowane oparcie swojego krzesła.

Lekko unosząc się wyraziłem podziw i uznanie.

– Co tam? – zwrócił się w naszą stronę Roger. – Może wódeczki? – uśmiechnął się do mnie. – Może śledzika? – zabalansował w stronę pani Fredy.

– *Aurea prima sata est* – wyskandowała pani Freda. – Czy uczą was w szkole łaciny? Powiedziałem, że uczą, uśmiechnąłem się do Rogera i wychyliłem kieliszek. Robert coś żywo tłumaczył Marice, Sobiesław szybko wychylił jeden po drugim dwa kieliszki i nałożył sobie trzecią porcję karpia. Szwedzi jedli ostrożnie, wytwornie manewrując widelczykami.

– Może wódeczki? – znów mrugnął do mnie Roger. – Może śledzika? – uśmiechnął się do pani Fredy.

– Wazy – zwróciła się do mnie Marika – zaczęłam zbierać dopiero wtedy, kiedy zaprosiła mnie do siebie moja znajoma i pokazała mi swoje. Zrozumiałam ją...

Robert kręcił się niecierpliwie. Sytuacja jego widocznie nie była jeszcze jasna. Harry, odchylony do tyłu, kołysał się niedbale na krześle, potem nagle objął Annę i pocałował ją w usta. Sobiesław zakrztusił się polską wódką eksportową, a ja słuchając, jak Roger znów zwraca się do mnie „Może wódeczki?” i zaraz „Może śledzika?” do pani Fredy, rozgrzany i rozkołysany wypitą wódką, obserwowałem Szwedów, z których trzech miało marynarki niebieskie ze złotymi guzikami, a dwóch szare z flaneli w ciapki, usłyszałem, jak Sobiesław już po raz drugi zwraca się do mnie, wychwalając zalety Anny dosadnie, wyraziście i wysuwa, zwieszony ku mnie, rozmaite przypuszczenia. Wtedy zmrużyłem oczy i powrócił znowu dzień pierwszy, kiedy to postanowiliśmy, że warto już zapewnić sobie nocleg.

Byliśmy jeszcze ciągle pewni siebie, opierając to zaufanie na doświadczeniach warszawskich, i wtedy Robert poprawił okulary, skupił się ogromnie i rzucać począł nienagannym oksfordzkim akcentem w lewo i w prawo, w stronę ud odsłoniętych i białych włosów, jak zawsze ostro i dowcipnie. Ale nie wywołał żadnego zainteresowania, co Sobiesława zupełnie wytrąciło i zastanawiał się nawet, czy nie warto by któreś trzasnąć, żeby wiedziały, że przyjechali poważni ludzie. Byliśmy już wymęczeni i głodni, całe szczęście, że nie mieliśmy kłopotów finansowych, bo każdy z nas posiadał w kieszeni po pięć dolarów, które oficjalnie pozwolono nam wywieźć, właśnie żebyśmy tych kłopotów nie mieli. Zjedliśmy coś i jeszcze nam prawie połowa została. Poza tym kieszenie wypychały nam polecające listy do cudownie tu poustawianych Polaków i cudzoziemców. W listach tych było napisane: „Cześć, Władek. Załatw wszystko moim dobrym kumplom. Gulwa.” Albo: „Wybacz, że nie pisałem do Ciebie przez dwadzieścia lat, ale proszę

Cię serdecznie, pomóż finansowo...” Albo, jak w listach Roberta: „*Dear Sir!*...”, w których dalej najczęściej było słowa „*please*”.

Chyba wtedy zaczęliśmy rozmowę o samochodach. Sobiesław oświadczył, że Volvo–Sport albo Ford–Mustang, bo niczym innym na Nowym Świecie nie wyskoczysz. Na co Robert, że mówi głupio, bo nie można za ostentacyjnie, właśnie cicho, skromnie a solidnie – Volkswagen, nie najnowszy nawet, inaczej z zawiści nie dadzą w kraju zarobić.

Z kolegą Roberta, który miał nam załatwić mieszkanie, spotkać się mieliśmy dopiero o ósmej wtedy kończył pracę. Szliśmy więc ciągle ulicami, znacznie już wolniej, i zapięliśmy płaszcze, nawet Sobiesław. Ścigaliśmy wzrokiem drzwi zaopatrzone w fotokomórki, smutniej już próbując z długonogimi. Była trzecia i już ciemno; za parę dni Święta, więc ruch na ulicach większy, mijaliśmy świętych Mikołajów i ludzi–butelki z różnymi reklamowymi napisami. Naraz jedna butelka zatrzymała się i powiedziała: „Cześć, Sobiesław!” Potem zdjęła szyjkę i zobaczyliśmy czołowego polskiego play boya, króla Sopotu z roku sześćdziesiątego piątego, doktora medycyny, który już wtedy jeździł nowym Volkswagenem, przywiezionym właśnie ze Szwecji.

– Dzień dobry panom – przywitał się z nami, bo tylko z Sobiesławem był na ty.

Wtedy Sobiesław zapytał go, co przedstawia, a on odpowiedział uprzejmie, że w tłumaczeniu na polski to będzie mniej więcej „Śniegotox” i że to rozpuszcza śnieg, po czym dodał, że jest to praca dobrze płatna. Długo się zastanawiał, ale w końcu powiedział, że mieliśmy szczęście spotykając go, bo dla dwóch z nas ewentualnie zorganizuje nocleg u pewnej pięćdziesięcioletniej Szwedki, ponieważ sam przeniósł się właśnie do innej, która ma lat sześćdziesiąt, koleżankę w tymże wieku i Forda–Mustanga. Potem włożył szyjkę i podprowadził nas kawałek mówiąc, że jest kryzys, zamykają fabryki, praca w barach i restauracjach prawie nierealna – jemu udało się znaleźć coś w restauracji koleżanki właścicielski Forda–Mustanga, dodatkowo złapał pracę w reklamie, czyli „Śniegotox”, że Turkom i Arabom nie wynajmują mieszkań, tysiąc Jugosłowian, czyli obywatele kraju, z którym Szwecja ma umowę o wymianie robotników, zawrócono z granicy, na pozwolenie na pracę trzeba w każdym razie czekać miesiąc, a przedtem załatwić zapotrzebowanie, Szwedki nie dają się zaczepić na ulicy, że ewentualnie ułatwi nam sprzedaż wódki, papierosów i dwóch adamaszkowych kopert na kołdry, które przywieźliśmy, że poza reklamą i restauracją roznosi jeszcze gazety od czwartej do szóstej rano i że za dziesięć miesięcy kupuje Triumph’a Spitfire’a, bo lubi sportowe wozy i szybkość.

– ...Czy czytaliście – wzmocnił głos Roger tę ostatnią wiadomość, że syn króla dostał właśnie naganę za źle oczyszczoną broń?

Teraz długo mówiło się o naganach i pochwałach syna króla, o czym pisały wszystkie gazety, i widziałem, że szwedzcy mieszczanie upajają się tą demokratyczną demonstracją dworu, że ten syn tak normalnie w wojsku, i że im ten dwór imponuje ogromnie. W tę rozmowę włączyli się z prawdziwym ożywieniem także trzej Szwedzi. Obok Robert, dalej starannie cieniując niecierpliwość, nachylił się przymilnie ku Marice i słyszałem słowo Praca we wszystkich przypadkach, odmieniane obok innych, takich jak Przyjaźń, Wdzięczność i Oddanie.

– „A jak poszedł król na wojnę, Grały jemu surmy zbrojne...” Tak, tak. W kraju byłam artystką. Byłam rozrywana. A tu, niestety, sami kupcy – przeciągnęła smutno pani Freda. – W dodatku czasy są dość ciężkie, kryzys...

– A do Polski wrócić to nie? – zakołysał się Sobiesław w stronę Anny.

– Wrócić? – uśmiechnęła się. – Może.

– No właśnie – zaczął – no właśnie. – Urwał, machnął ręką, pochylił się do mnie. – Ja bym ją najpierw tak...

– Może wódeczki? – wychylił się znad stołu Roger. – Może śledzika?

– Zrozumiałam wówczas tę przyjaciółkę i zaprosiłam ją dopiero wtedy, kiedy mogłam jej już swoje wazy pokazać.

Teraz znów rozmawiało się o tym, że syn króla jest w wojsku, że podatki są za duże, a domki najlepiej jest budować w Portugalii. Potem zapytałem Rogera, dlaczego tych trzech Szwedów

ma marynarki niebieskie z guzikami złotymi, tamci dwaj w ciapkach, a on na czarno. Na co odpowiedział, że tamci trzej mają Morrisy Austiny czerwone, ci dwaj BMW Automatic białe, a on sam ma Volvo, co zrozumiałem zresztą dopiero później, po paru dniach, kiedy zobaczyłem w największym domu towarowym te niebieskie ze złotym podpisane Austin Morris Red, a obok ciapki podpisane BMW Automatic White. Wiedziałem już wtedy, że to chodzi o zaoszczędzenie czasu Szwedom, żeby się nie zastanawiali, co kupić, bo już się przed nimi zastanowili fachowcy, a oni do fachowców mają zaufanie ogromne. Potem znowu patrzyłem na rozgrzanego, zaczerwienionego Roberta, deklinującego dalej różne słowa, i widziałem, jak się denerwuje, aby ten wieczór nie przeszedł bez wyniku, co go zmuszało do natarczywości, może przesadnej, a on wiedział o tym i dlatego denerwował się jeszcze bardziej, myśląc o powrocie do monotonie śpiewających w jego piwnicy Algierczyków, gdzie sypia głównie na rozłożonych na podłodze „Paris Matchach”, mając pod głową kalendarz „Play Boya”. Robert odwiedzał nas co rano w małej kuchni, którą wynajmowaliśmy – zamienionej poprzez wstawienie kozetki na sypialnię. Tłoczyliśmy się na niej w nocy z Sobiesławem, potem, w trójkę, siedzieliśmy na niej z trudem, wolno sącząc mleko i nie żartując zbyt wiele. Sobiesław studiował gazetę podkreślając ogłoszenia o sprzedaży samochodów dotyczące Volvo–Sport i Fordów–Mustangów. Za ścianą krzątała się gospodyni, oczekująca przybycia malarza, trzydziestoletniego Araba, przeprowadzającego z podejrzaną powolnością remont jej pokoju. Gdyby nie to, że wchodził codziennie z drabiną, sądzilibyśmy że to pretekst.

Ostatnie trzy tygodnie wykorzystaliśmy na obejrzenie od strony kuchni większości barów i restauracji w Sztokholmie. Robert miał około stu możliwości zaprezentowania Oxfordu we frazie zaczynającej się od słów „*Good morning, sir, my name is Nowak. I'm a job seeker.*” Spokalkaliśmy wielu rodaków, serdecznie pytających, co nowego w konsulacie, oraz wzruszającego Jugosłowianina, który dał nam po bułce z serem. Potem znów „*Good morning, sir... przepraszamy za kłopot...*” w stronę niechętnych kucharzy, wyniosłych szefów personelu, współczujących portierów. Cała trudność polegała na tym, że przed nami było już tu morze Hiszpanów, Włochów, Algierczyków, Turków, Jugosłowian, którzy wypełnili szczelnie wszystkie kuchnie barów, restauracji i knajp, tworząc inny, zamknięty świat, w którym Szwedzi pracy nie przyjmą. Oni wszyscy bardzo lubią Szwecję, bo tutaj można dobrze zarobić, ale jest to miłość nie odwzajemniana.

Potem przychodził malarz, bo za ścianą dźwięczał śmiech gospodyni i migał w uchylonych drzwiach kuchni–sypialni przezroczystry szlafroczek–mani. Malarz zaczął w końcu przychodzić bez drabiny, i ucieszyliśmy się, że nabrano do nas zaufania.

Sobiesław zatrzymywał się przy Jaguarach, Robert smutnie dopijał mleko – zdrowe i tanie. Zdeponowaliśmy większość listów polecających, otrzymując liczne odpowiedzi. Władek napisał, że Gulwy nie zna, pan Ryszard, że ludzi do łopaty w Szwecji nie brak: Robert dostał dwie linijki po angielsku, gdzie użyto słowa „*sorry*”. Poszedł ze Szwedami, znajomymi swojej rodziny, na lunch, ale musiał sam za siebie zapłacić – na szczęście przezornie zamówił coś mlecznego. Liczył jeszcze tylko na Rogera i Marikę, których wtedy jeszcze nie odnalazł. Opowiadał nam również o incydencie z Turkiem, któremu sprzedał futrzaną komisową czapę i który podpierając się Algierczykami zdarł z niego bezlitośnie. Sobiesław przerzucał się na Mercedesy 220 Automatic i obliczał, że jeśli popracuje przez rok na trzech posadach zaczynając od jutra i ograniczając żywienie do mleka oraz nie płacąc za mieszkanie, to w Warszawie rozmarzał się, twarz mu łagodniała – jadę Nowym Światem, obok mnie modelka, z tyłu dwie modelki i pies, zły, wilk. Jedziemy sobie, rejestracja zachodnia, wszyscy stają, milicjant się uśmiecha”.

– „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei” – zaczęła melancholijnie pani Freda.

– „I przed narodem niosą oświaty kaganiec” uśmiechnąłem się do pani Fredey, ponieważ uświadomiłem sobie nagle, że jestem o wiele za mało sympatyczny i że chociaż moja rodzina nie pomogła, to jednakże mimo wszystko znajomi Roberta mogliby ewentualnie nieco wyjaśnić naszą sytuację, skoro już zaprosili nas tutaj na Wigilię razem z nim.

– „Podaj mi rączkę, trumienko. Konik wędziło gryzie, chrapami świszcze” – znów zaatakowała pani Freda. – To jest Grochowiak – rozmarzyła się. – Był tutaj i zostawił mi książkę na pamiętkę. – Potem zaintonowała kolędę, my za nią uprzejmię wraz z resztą Polaków. Szwedzi mruzcili ją także. Jeszcze zanim zaczęto dawać sobie prezenty, wydarzyła się ta przykra scena z Sobiesławem, któremu pomyliły się kierunki, bo wypił już o wiele za dużo, i pochyliwszy się, zamiast do mnie, w stronę Anny – odkarmionej, długonogiej studentki architektury w Sztokholmie – zaczął się zwierzać jej zamiast mnie, co by z nią właśnie, taką odkarmioną, szeroką w tyłku zrobił, gdyby ją gdzieś na boku wywrócił. Ale cała rzecz dała się jakaś załagodzić i teraz nadszedł czas prezentów.

Syn gospodyni dostał więc kwit na zapłacony samochód typu Porsche, czego się spodziewał, więc się nie ucieszył. Anna otrzymała jakieś futro i pantofle, reszta obsypywała się podobnie. Ja i Sobiesław nie dostaliśmy nic, a Robert portfel, ale pusty, co mnie zresztą rozśmieszyło. Potem mówiło się o synu króla, podatkach, willach i wakacjach.

Wracaliśmy przez miasto o północy i Sztokholm był zupełnie pusty. Robert miał prawie pewność otrzymania pracy, a ja niejake nadzieje. Sobiesław wypadł najslabiej.

II

Godzina siódma rano. Udało mi się nadzwyczajnie i stoję już w kuchni baru, mając po lewej Algierczyka, a po prawej Turka. Staję wpatrzony w taśmę, a właściwie w okienko, przez które brudne naczynia z baru wjeżdżają do nas. Trzeba je zdejmować, posortować – oddzielnie talerze, talerzyki, łyżki, noże itp., postawić na tacach, wsunąć na następną taśmę, która wjeżdża do maszyny zmywającej. Turek odbiera po umyciu, Algierczyk płucze ogromne gary za pomocą patentowego gumowego węża. Patent jest nie najlepszy i wąż przepuszcza, tak że wszyscy jesteśmy opryskani, a podłoga zalana.

Robert ma jeszcze większe szczęście: w instytucie naukowym ściga zbiegłe z klatek myszy, dopędzane w sterylnych, lśniących wnętrzach likwiduje uzbrojony w ogromne rękawice, ujmując zwierzę za ogon i łepkę i stosując łagodny ruch dłońmi w strony przeciwne. Sobiesław powiedział, że nie wziąłby takiej pracy mouse-killera, bo lubi te zwierzęta, ale oczywiście była to zawiść, ponieważ Robert nie tylko je likwidował, ale także karmił, zmieniał im słomę, dawał wodę, szorował klatki przez dziewięć godzin dziennie i mógł być dla nich dobry. Sobiesław w ogóle był nieswój, bo okazało się, że tamta architektka też śpi na kanapie, jeszcze węższej niż nasza; i że się odchudza.

To rozegrało się wieczorem pięć dni temu, przed samą Wigilią. Robert wtedy podniósł się i zaproponował, żebyśmy się przeszli. Ale myśmy mieli plany inne: zażyć po dwa proszki Elenium 0,1 mg i spać, dzięki czemu problem kolacji byłby zlikwidowany. Powiedziałem więc, że nie. Robert spojrział z nienawiścią na dojeżdżającego teraz Mercedesem 220 SE do Nieporętu Sobiesława i wyszedł. Wydobyłem proszki i wtedy gospodyni oznajmiła nam, że jest do nas telefon. Telefon był czynny tylko w jedną stronę – z miasta do nas, bo gospodyni obawiała się, żebyśmy go nie nadużywali, a za mieszkanie płaciliśmy rzeczywiście nie tak znów dużo.

Dzwonił przyjaciel Sobiesława, bottleman, „Śniegotox”. Odrzuciłem proszki i już w pół godziny później byliśmy na małym przyjęciu u polskich architektów, którzy pracowali tu w swoim zawodzie; ale, niestety, tylko pili wino, a do jedzenia nie było nic. Puścili – muzykę i tańczyli – osób było ze dwadzieścia – ja skupiłem się na paczce herbatników, nie osłabiałem się tańcem, natomiast wirował Sobiesław z ogromną, grubą architektką, w przerwie mrugając do mnie, że ona musi się niezłe odżywiać. Potem zniknęli razem, ja zorientowałem się za późno, kiedy metro już nie chodziło, a miejsca w samochodach były zarezerwowane, ale nawet dość szybko mi zleciało te pięć kilometrów po śniegu piechotą. Na rano byłem umówiony z Robertem w celu

zwizytowania nowo odkrytej restauracji, której kucharz miał podobno słabość do Polaków. Po-tem wrócił Sobiesław z pretensjami.

Godzina jedenasta trzydzieści. Pora lunchu. Taśmy w nieustannym ruchu. Talerze dwoją się, troją, rosną w góry, widelce sypią się na mnie, ręce drętwieją, nogi drętwieją, a maszyna jednak staje – to moja wina nie zdążyłem zdejmować z taśmy. Ocieram pot, strząsam wodę, w okienku wychodzącym na salę ponad taśmą i talerzami zdenerwowana twarz Finki, która ma pracę eks-kluzywną, wyżej płatną, bo wyłącznie zbiera talerze, w związku z czym dostrzega mnie tylko, jeśli nie nadażam. Talerze na lewo, łyżeczki na prawo, talerzyki bardziej w lewo, szklanki jesz-cze bardziej w lewo – mam zupełnie mokre włosy, patrzę na zegarek minęło pół godziny. Głów-ne nasilenie ruchu trwa do drugiej. Potem można na chwilę usiąść. Ale tylko na chwilę i tak, że-by szef nie zauważył. Szef się niby nie interesuje, ale wie wszystko. Nikogo nie ponagla, nigdy nie podnosi głosu, po prostu – zwalnia. Od ręki, bez ostrzeżenia. W związku z czym nie potrze-buje ponaglać. Ja pracuję nielegalnie, bez zezwolenia władz, dzięki wysokiej protekcji brata Ma-riki, więc staram się nie usiąść.

Godzina czternasta trzydzieści. Ruch znacznie mniejszy. Praca w barze wiąże się z prawem do darmowego jedzenia, ale tu nowa komplikacja jestem za bardzo zmęczony, nie mam sił jeść, a wynosić nie wolno – co będzie z kolacją? Dziś pracuję do piętnastej, więc pięć po trzeciej rzucam uniform pomywaczki – pasiasta za mała bluza, kraciaste spodnie – i zataczam się w stronę wyjścia. Jeszcze tylko dziękczynny uśmiech w stronę kierownika: „*Good bye, sir*”, drugi ukłon w stronę kucharzy, próba uśmiechu do bardzo wysoko notowanej w hierarchii służbowej kasjerki, i wypadam na dwór. Parę metrów dalej siadam na oblodzonych schodkach. Zastanawia mnie bottleman, po takiej pracy chodzący jako „Śniegotox” i jeszcze w nocy roznoszący gazety. Odpocznie za rok w Spitfirze.

W domu umówiłem się na czwartą. Sobiesław piecze kaczkę. Sobiesław jest załamany. Po-szedł przedwczoraj odwiedzić kolegę bottlemana, mieszkającego u właścicielki Forda–Mustan-ga, i został na dłużej. Bottleman ma nawet o to do niego trochę pretensji. Sobiesław też nie jest szczęśliwy. Ona obiecała mu poszukać pracy w kuchni – jeszcze pracy! Na razie nic go nie po-suwa do przodu. Przywiozła go pół godziny temu Fordem–Mustangiem i za pół godziny wróci po niego Fordem–Mustangiem. Tyle że miał dostęp do lodówki i stąd ta kaczka. Ja dziś pracuję od trzynastej do dwudziestej drugiej. Na razie wypoczywam. Wczoraj pracow-ałem już drugi dzień – odszedł Algierczyk i Turek, przyszło dwóch Hiszpanów. Szef poklepał mnie po plecach i powiedział: „*Good boy*”. Jest w moim wieku. Jeden Hiszpan ma czterdzieści lat, jest bardzo drobny i przewraca się pod garami. Ja jestem faworytem szefa i starszym kuchni. Porozumieć się z Hiszpanami nie mogę, więc rzucam tylko dwa słowa, które rozumieją i oni, i ja, a które akurat mają duże zastosowanie: „*Arbeiten, amigo!*” Malutkiego Hiszpana trochę mi żal, ale sam się muszę oszczędzać, żeby móc coś zjeść, więc znowu: „Pracuj, przyjacielu.” Szef ma do mnie zaufanie, wczoraj dał mi klucz od ubikacji. Rozparłem się wygodnie i urwałem dziesięć minut. Hiszpanie klucza nie mają. Takie jest życie! „Pracuj, amigo, pracuj.” Postana-wiam ostatecznie: jeszcze tylko dziś.

Sobiesław smutny kroi kaczkę. – Wróciłbym może bez wozu – mówi – ale to pełna kompro-mitacja; a tak, jakbym dostał pracę jutro, mleko... mieszkanie już mam za darmo, to po roku wóz Świętego, tenis, basen Legii, herbata w „Bristolu”, ptysie, łatwe życie.

Robert wolno żuje skrzydełko. Poznał jedną młodą Szwedkę wczoraj u siebie w pracy. Oxford podzielał, niby miło, ale wymęczył się, a rano stracił pracę – zlikwidował niewłaściwe myszy. Roger i Marika, którym jego rodzina..., już go nie zapraszają. W ogóle w myszach zmieniają personel. Ten znajomy Polak, który z nim pracował i już miał odłożone na Volkswagena 1200 z sześćdziesiątego roku, ale z silnikiem 1300 po 30 000 km, dostał szoku, chyba z wyczerpania, poszedł do szpitala, a nie miał pozwolenia na pracę, więc płaci za szpital i już ten Volkswagen odjeżdża. Potem Robert opowiada o Szwedce – jednak od czasów Strindberga obyczajowość się tutaj nieco zmieniła. Słucham więc, jak tą dziewczyna przyprowadza niepewnego Roberta do

domu, wymiana grzeczności z rodziną, precyzyjnie prowadzony przez ilustrowany magazyn akt i ciepłe pożegnanie. Dorośli są poinformowani, że powinni być wyrozumiali, i są wyrozumiali.

Już zaraz zatrąbi Ford-Mustang, więc Sobiesław szybko kończy kaczkę i mówi, że ona mu chyba tego Forda Mustanga nie da. – Chyba nie da, jak myślisz? – Patrzy na mnie z nadzieją, ale mówię mu bezlitośnie, że nie da, i on kiwa smutnie głową, bo przecież wie to sam, w ogóle nikt tu nikomu nic nie daje, więc dorzuca jeszcze, że nic go to nie posuwa, bo ona mu tej pracy może nie znajdzie, na co pocieszam go, że ja dziś idę ostatni dzień, bo wracam. – Dlaczego? – pyta Sobiesław. Odpowiadam, że się zmęczyłem. Więc rozpromienia się jeszcze niedowierzająco, na co Robert, że dlaczego niby – skoro rzeczywiście chcę wracać, co jest nonsensem – odstępuję pracę Sobiesławowi, podczas gdy on śpi na tym papierze. Więc załagadzam, że się jeszcze naradzimy. Wtedy trąbi Ford-Mustang, Sobiesław żegna się i wychodzi, a w chwilę później gospodyni prosi nas do telefonu. A to dzwonią właśnie trzej play boye z Warszawy, którzy przyjechali tutaj kupić samochód i pytają, czy nie mamy dla nich pracy i mieszkania. Wyjaśniamy, że nie mamy, ale nie wierzą nam, wymyślają i rzucają słuchawkę. Potem wchodzi gospodyni i mówi, że właśnie ten malarz, Arab, będzie teraz odnawiał kuchnię, więc niestety będziemy musieli zacząć nocować gdzie indziej, ale dziś jeszcze mażemy. Sprawdzam, czy nie zgubiłem biletu powrotnego, wyrobił mi się taki nerwowy tik, i zaczynamy się ubierać. Robert kładzie do kieszeni gazetę z podkreślonymi ogłoszeniami o sprzedaży Volkswagenów z pięćdziesiątego ósmego i pięćdziesiątego dziewiątego roku.